

A detailed oil painting of Honoré de Balzac, showing him from the chest up. He has light brown hair, a serious expression, and is wearing a dark coat over a white shirt and a dark turtleneck. A medal is pinned to his left breast. The portrait is set against a dark, circular background.

HONORÉ DE BALZAC

---

**Proboszcz z Tours**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Dziękujemy darczyńcy o pseudonimie z za sfinansowanie opracowania niniejszej publikacji.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

# *Proboszcz z Tours*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# Spis treści

Od tłumacza . . . . .	4
Proboszcz z Tours . . . . .	6

## OD TŁUMACZA

*Dziewczyna o złotych oczach* stanowi trzecie z opowiadań<sup>1</sup>, objętych we francuskim wydaniu wspólnym tytułem: *Historia trzynastu*. I tu, jak w tamtych częściach, dzieje owej fantastycznej „trzynastki” niewielkie mają znaczenie: poza tym, że widzimy Ferragusa, z pękiem wytrychów wnikającego do tajemniczego pałacu, mogłoby się obyć bez jego udziału. Henryk de Marsay nie potrzebowałby należeć do tajnego związku (o czym zresztą Balzac w późniejszych utworach zapomina), aby być jedną z najciekawszych, najbardziej niepokojących postaci *Komedii Ludzkiej*. Jest też faworytem samego Balzaca: zakochany w jego urodzie, zuchwalstwie i wdzięku, pisarz przebacza mu wszystko i chowa go do najwyższych przeznaczeń. Oddaje mu wszystkie kobiety. „Powiedzmy na pochwałę kobiet, że miał wszystkie, których raczył pragnąć”, oto zdanie, które jakby mimo woli wyrzywa się *moralistycznie* Balzakowi. De Marsay to przyszły mąż stanu, premier gabinetu po Rewolucji Lipcowej (*Córka Ewy*). Przeobrażenie to jest bardzo znamienne dla pojęć Balzaka o człowieku: wartość ludzką stanowi dlań *sila motoru*, transmisja jest kwestią okoliczności. Jedynie człowiek mierny nie będzie dla niego nigdy niczym. Mimochodem rzucona jego uwaga o owych „porządnych ludziach”, którzy są plagą państwa, jest bardzo znamienna. Jest to jedno z owych powiedzeń Balzaka, odsłaniających śmiałość jego myśli, zawsze wybiegającej poza sferę zdawkowej moralności. Nam to przeobrażenie dandysa w męża czynu powinno trafiać dosyć do przekonania: czyż nie mamy najładniejszego przykładu takiej metamorfozy w naszym księciu Józefie?

Niemniej uderzającą jest charakterystyka owego księdza, który wychował i stworzył młodego Henryka. Ten „prałat, wspaniałe typy ludzi, których geniusz ocali Kościół katolicki, apostołski i rzymski, zagrożony obecnie w skutek słabości swych rekrutów i zgrzybiałości swoich arcykapłanów”, mógłby być dosyć niewygodny tym, którzy chcą widzieć w Balzaku (na wiarę zresztą jego enuncjacji) filar katolicyzmu. Ale w gąszczu Balzaka tyle jest rzeczy, spojrzenie jego jest tak wielostronne, że każdy bierze z jego dzieła to, co mu się nadaje, a zapomina łatwo o czym innym. Konfrontować Balzaka z Balzakiem to jedna z bardziej interesujących rozrywek.

*Dziewczyna o złotych oczach* jest zarazem ciekawym przyczynkiem do zrozumienia kompozycji Balzaka i jego pozornych błędów kompozycyjnych. Spójrzmy na ten początek, malujący dantejskie kregi Paryża. Wstęp ten, zdawałoby się, niewiele ma wspólnego z samym opowiadaniem. Balzac, chcąc powiedzieć, że świeża i młodzieńcza twarz jego bohatera musiała odbijać od fizjonomii<sup>2</sup> spotykanych w Paryżu, tłumaczy czemu te fizjonomie są takie: i opis ten rozrasta mu się pod piórem w potężny obraz, zbędny może tutaj, ale jakże niezbędny w całości *Komedii Ludzkiej*! Wciąż instynktownie Balzac komponuje dla całości.

I znów w tym utworze mamy owego Balzaka, w którym poeta-romantyk, indywidualista, zmagają się z zaciętkim analitykiem życia, przyrodnikiem jego objawów. Po wstępie, sporządzającym, z ową dokładnością, jaka zawsze będzie cechowała Balzaka, bilans każdej namietności, wchodzimy niespodziewanie w świat bajki, w jakąś dziwną, przepojoną zmysłowym czarem historię. Jakże daleko jesteśmy od balzakowskiego realizmu przy owej Pakicie, gdy to dziecko chowane w paryskim haremie, nie wiedzące nic o świecie, przemawia do kochanka tym stylem:

„Jeżeli chcesz wybrać schronienie godne nas, Azja jest jedynym krajem, gdzie miłość może rozwinąć skrzydła...”

Te rozkoszne dzieciństwa, te przekrwienia wyobraźni, znów odsłaniają nam innego Balzaka. Są to w jego dziele oazy, które ten niestrudzony wędrowiec stwarzał sobie sam dla wypoczynku. Skojarzenie prawdy i marzenia, trzeźwości i szaleństwa, czyni go tak pełnym człowiekiem, tym który mógł napisać istotną *Komedie Ludzką*.

Dla balzakistów dodać należy, że ów tak drobniogowo opisany pąsowy pokój jest wiernym opisem własnego pokoju Balzaka w owej epoce, urządzonego wedle jego smaku. Ten pokój, wymarzony przez miłość dla zazdrosnej i zbrodniczej rozkoszy, był w istocie pracownią i celą wielkiego samotnika. „Zmęczenie, wysiłki, walki, bóle głowy, kłopoty,

<sup>1</sup>Ferragus, *Księżna de Langeais*, *Dziewczyna o złotych oczach*. [przypis tłumacza]

<sup>2</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

wszystko to się rozgrywa w czterech ścianach owego białego i różowego buduaru<sup>3</sup>, który znasz z opisu w *Dziewczynie o złotych oczach*”, pisze Balzac do pani Hańskiej.

Na tym ostatnim opowiadaniu kończy się owa *Historia Trzynastu*, której ślad ginie w dziele Balzaka. „Te trzy epizody — pisze Balzac w swojej nocie — są to jedyne, które autor może ogłosić. Co się tyczy innych dramatów tej historii, tak płodnej w dramaty, da się je opowiedzieć między jedenastą a dwunastą w nocy: ale niepodobna<sup>4</sup> ich napisać”.

Pierwsze wydanie *Dziewczyny o złotych oczach* opatrzył Balzac następującym komentarzem:

Od dnia, gdy ukazał się pierwszy epizod *Historii Trzynastu*, aż do dziś, gdy ukazuje się ostatni, wiele osób pytało autora, czy ta historia jest prawdziwa: ale wzdragał się zaspokoić ich ciekawość. Takie ustępstwo mogłoby zaszkodzić wierze, jaka należy się opowiadającym. Kończąc jednakże, wyzna, że epizod *Dziewczyny o złotych oczach* prawdziwy jest w większości szczegółów, okoliczność zaś najbardziej poetyczna i tworząca jej węzeł, podobieństwo dwojga bohaterów, jest ścisła. Bohater przygody, który ją opowiedział autorowi, prosząc aby ją ogłosić, będzie z pewnością rad ze spełnienia swego życzenia, mimo że początkowo rzecz zdała się autorowi niemożliwa. Trudnym zwłaszcza zdawało się, aby czytelnik uwierzył w tę cudowną pół-kobietą piękność, która stroiła bohatera, gdy miał siedemnaście lat, a której ślady autor dojrzał w dwudziestosześcioletnim młodzieńcu. Jeżeli kto z czytelników interesuje się *Dziewczyną o złotych oczach*, może ją oglądać w teatrze po opuszczeniu kurtyny: jest to aktorka, która, aby otrzymać swe znikome wieńce, wstaje zdrowa i cała, mimo iż zasztyletowana publicznie. W naturze nic nie kończy się poetycznie. Dziś *Dziewczyna o złotych oczach* ma trzydzieści lat i mocno przywydła. O margrabinę de Saint Real otarła się tej zimy w Bouffes lub w Operze niejedna zacna osoba, która czytała to opowiadanie. Jest dziś w wieku, do którego kobiety się nie przyznają, ale zdradza go owa straszliwa „koafiura<sup>5</sup>”, jaką niektóre cudzoziemki pozwalają sobie zatarasowywać front łoża, z wielką przykrością młodych osób, które siedzą schowane z tyłu. Ta margrabina jest to osoba wychowana na Wyspach, gdzie obyczaj tak dalece uprawnia *Dziewczyny o złotych oczach*, iż są tam one niemal instytucją.

Co się tyczy dwóch innych epizodów, dosyć osób w Paryżu znało ich aktorów, aby nie potrzebować objaśniać, że pisarze nie wymyślają nigdy nic. Wyznanie to złożył pokornie wielki Walter Scott w swojej przedmowie, rozdzierając zasłonę, którą się tak długo spowijał. Nawet szczegóły rzadko należą do pisarza, który jest mniej lub więcej szczęśliwym kopistą. Jedyna rzecz, która należy do niego, kombinacja wydarzeń, ich rozmieszczenie literackie, stanowi zazwyczaj słabą stronę, którą krytyka skwapliwie atakuje. Krytyka nie ma racji. Nowoczesne społeczeństwo, równając wszystkie stany, oświeclając wszystko, zniósł komizm i tragizm. Historyk obyczajów jest zmuszony, jak tutaj, brać, tam gdzie je znajdzie, fakty zrodzone z tej samej namiętności, ale które się zdarzyły wielu osobom, i zszyć je razem aby stworzyć pełny dramat. Tak więc zakończenie *Dziewczyny o złotych oczach*, przy którym zatrzymała się rzeczywista historia opowiedziana przez autora w całej jej prawdzie, to zakończenie jest w Paryżu faktem periodycznym. Chirurdzy szpitalni znają tragedię tego miasta, gdyż medycyna i chirurgia są powiernicami szaleństw, do jakich przywodzą namiętności, tak jak prawnicy powiernikami dramatów zrodzonych ze starcia interesów. Prawdziwe dramaty i komedie naszej epoki rozgrywają się w szpitalu lub w kancelarii prawników.

Mimo że każdy z Trzynastu mógłby dostarczyć tematu do niejednego epizodu, autor uznał, że przyzwoiciej i może poetyczniej jest zostawić ich

<sup>3</sup>*buduar* (daw.) — pokój pani domu, przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*koafiura* (daw.) — fryzura, uczesanie. [przypis edytorski]

przygody w tym samym cieniu, w jakim trzymało się stale ich osobliwe stowarzyszenie.

I znów *Proboszcz z Tours* (bohater tego opowiadania jest bratem — i jak prawdziwym bratem! — Cezara Birotteau) pokazuje nam, jak zawodnym byłoby chcieć wytyczyć ewolucję Balzaka wedle epok jego twórczości. Gdy ta *Dziewczyna o złotych oczach*, stworzona w latach 1834–1835, tyle ma młodzieńczego romantyzmu, *Proboszcz z Tours*, pisany dwa lata wcześniej, posiada już cechy najdojrzałej twórczości Balzaka. Jest to arcydzieło panowania nad tematem; zarazem wykazuje już w całej pełni to, co będzie najistotniejszą zdobyczą, niemal wynalazkiem Balzaka: zdolność dramatyzowania codzienności, wyolbrzymiania zdarzeń, które są drobne i poziome<sup>6</sup> dla obojętnych, ale które dla swoich bohaterów zawierają pełnię ludzkich wzruszeń i namiętności. Twórca umiejący w nich czytać wyczyta te same lekcje i te same prawdy, co w najpatetyczniejszych księgach historii. I właśnie zestawione razem, dwa te utwory (oba spolszczone po raz pierwszy), dają nam klucz do zjawiska: BALZAC.

Boy

kwiecień 1926, Warszawa

## PROBOSZCZ Z TOURS

Rzeźbiarzowi Dawidowi

*Trwanie dzieła, na którym kreślę twoje nazwisko, dwukrotnie sławne w tym stuleciu, jest nader problematyczne; podczas gdy ty ryjesz moje na brązie, który przeżywa narody, nawet choćby był bity tylko pospolitym młotem młincarza<sup>7</sup>. Czy numizmatycy nie będą zakłopotani tyloma koronowanymi głowami w swojej pracowni, kiedy, wśród popiołów Paryża, odnajdą owe istnienia uwiecznione przez ciebie ponad trwanie ludów, istnienia, w których oni będą się dopatrywać dynastii? Tobie tedy przypadł ten boski przywilej, mnie wdzięczność.*

De Balzac

Z początkiem jesieni roku 1826 księdza Birotteau, główną osobę tego opowiadania, zaskoczyła ulewa w chwili, gdy wracał z domu, gdzie spędził wieczór. Przebył tedy, tak szybko jak mu pozwalała jego tusza, pusty placyk, zwany *le Cloître*<sup>8</sup>, znajdujący się za chórem kościoła Saint Gatien w Tours.

Ksiądz Birotteau, mały i krótki człeczyna, o apoplektycznej<sup>9</sup> budowie, liczący około sześćdziesięciu lat, przebył już kilka ataków podagry<sup>10</sup>. Otóż, ze wszystkich drobnych niedoli ludzkiego życia, wypadkiem do którego dobry ksiądz miał największy wstręt, było nagle skropienie trzewików z szerokimi srebrnymi klamrami oraz przemoknięcie podszew. W istocie, mimo flanelowych szmatek, w które stale zawijał nogi z istic księżą dbałością o swoją osobę, zawsze wrażliwy był na wilgoć; po czym, nazajutrz, podagra dawała mu niechybnie dowody swojej pamięci. Mimo to, ponieważ bruk na placyku jest zawsze suchy, ponieważ ksiądz Birotteau wygrał ćwierć franka w wista<sup>11</sup> u pani de Listomere, zniósł z rezygnacją deszcz od połowy placu arcybiskupiego, gdzie zaczął padać obficie. W tej chwili pieścił zresztą swoje marzenie, pragnienie hodowane już od dwunastu lat, klasyczne marzenie księdza! Pragnienie to, które nawiedzało go co wieczór, zdawało się w tej chwili bliskie ziszczenia; słowem, zbyt szczerze zawijał się w pelerynkę kanonika, aby czuć wilgoć. Tego wieczora osoby zbierające się zwyczajnie u pani de Listomere zaczęły mu niemal, że otrzyma kanonię<sup>12</sup>, właśnie w kapitule katedralnej św. Gracjana, dowodząc mu, że nikt nie zasługuje na tę posadę tyle co on, i że długo pomijane jego

<sup>6</sup>poziomy (daw.) — tu: błahy. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>młincarz — wykwalifikowany pracownik mennicy, zwł. przed jej zmechanizowaniem. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>le Cloître (fr.) — klasztor. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>apoplektyczny — skłonny do apopleksji, tj. udaru mózgu. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>podagra — choroba stawów. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>wist — gra karciana, prekursor brydża. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>kanonia — urząd w kościele rzymskokatolickim pełniony przy katedrze a. kolegiacie; także: beneficjum związane z tym urzędem. [przypis edytorski]

prawa są tym razem niezaprzeczone. Gdyby przegrał w karty, gdyby się dowiedział, że ksiądz Poirel, jego rywal, ma zostać kanonikiem, deszcz wydałby się pocziwinie o wiele chłodniejszy. Może złorzeczyłby istnieniu. Ale znajdował się w jednym z owych rzadkich momentów życia, kiedy różowe myśli pozwalają o wszystkim zapomnieć. Jeżeli przyspieszył kroku, to jedynie machinalnie. Prawda, owa prawda tak nieodzowna w historii obyczajów, każe wyznać, że nie myślał ani o ulewie, ani o podagrze.

Niegdyś istniały w *Klasztorze* od strony ulicy Wielkiej liczne domy zamknięte wspólnym ogrodzeniem, przynależące do katedry i mieszczące kilku dygnitarzy kapituły. Od czasu zagarnięcia majątków kleru miasto uczyniło z przejścia, które dzieli te domy, ulicę nazwaną *Psalette*, która prowadzi od *Klasztoru* do ulicy Wielkiej. Nazwa ta wskazuje dostatecznie, że tam mieścił się niegdyś wielki Kantor, jego szkoły i cały jego dwór. Lewą stronę tej ulicy wypełnia jeden dom, przez którego mury przechodzą żebra wspierające kościół. Żebra te tkwią w małym ogródku koło domu, tak iż trudno by rozstrzygnąć, czy katedrę zbudowano przed czy po tej starodawnej siedzibie. Ale, badając arabeski<sup>13</sup> i kształt okien, luk drzwi i szerniałą od wieku fasadę, archeolog pozna, że zawsze stanowiła ona część wspaniałej budowli, z którą jest zespolona. Antykwariusz (gdyby taki istniał w Tours, jednym z najmniej oświeconych miast we Francji) mógłby nawet rozpoznać, u wejścia pasażu do *Klasztoru*, ślady arkady<sup>14</sup>, która tworzyła niegdyś portyk owych księżych mieszkań i która musiała harmonizować z ogólnym charakterem budowli. Położony na północ od św. Gracjana, dom ten znajduje się stale w cieniu rzucanym przez tę wielką katedrę. Czas oblekł ją swoim czarnym płaszczem, wycisnął na niej swe zmarszczki, posiał swój wilgotny chłód, swoje mchy i wysokie zioła. Toteż mieszkanie to jest zawsze spowite w głęboką ciszę, przerywaną jedynie dźwiękiem dzwonów, śpiewami kościelnymi, przenikającymi przez mury kościoła, lub też krakaniem kawek gnieźdzących się w dzwonnicy. Zakątek ten jest to pustynia kamienna, samotnia pełna wyrazu, gdzie mieszkańcy mogą jedynie istoty sprowadzone do zupełnej nicości lub też obdarzone olbrzymią siłą ducha. W domu, o którym mowa, mieszkali zawsze księża, a należał on do starej panny nazwiskiem Gamard. Posiadłość tę nabył od Narodu, w czasie Terroru<sup>15</sup>, ojciec panny Gamard; ale, ponieważ od dwudziestu lat stara panna wynajmowała ją księżom, nikomu nie przyszło na myśl gorszyć się za Restauracji<sup>16</sup>, że dewotka posiada realność<sup>17</sup> pochodzącą z tego źródła. Może duchowni przypuszczali, że panna Gamard ma zamiar zapisać dom kapitule<sup>18</sup>, świeccy zaś nie widzieli zmiany w jego przeznaczeniu.

Ksiądz Biroteau kierował się tedy ku temu domowi, gdzie mieszkał od dwóch lat. Mieszkanie to było niegdyś — jak obecnie pelerynka<sup>19</sup> — przedmiotem jego pragnień i jego *hoc erat in votis*<sup>20</sup> przez jakich dwanaście lat. Być pensjonariuszem panny Gamard i zostać kanonikiem, to były dwie wielkie sprawy jego życia; w istocie określają one dość ściśle ambicję księdza, który, czując się niejako pielgrzymem w drodze ku wieczności, może pragnąć na tym świecie jedynie dobrego legowiska, dobrej kuchni, schludnej odzieży, trzewików ze srebrnymi kłamrami, rzeczy wystarczających dla potrzeb zwierzęcych; kanonii zaś dla zadowolenia miłości własnej, tego szczególnego uczucia, które zaniesiemy z sobą podobno aż przed oblicze Boga, skoro istnieją stopnie pomiędzy Świętymi. Ale pożądanie mieszkania, obecnie zajmowanego przez księdza Biroteau, owo uczucie tak blade w oczach świata, było dlań całą namiętnością, namiętnością pełną przeszkód, i, jak najbardziej zbrodnicze namiętności, pełną nadziei, upojeń i wyrzutów.

Rozkład i charakter domu nie pozwalały pannie Gamard mieć więcej niż dwóch pensjonariuszy. Otóż, mniej więcej na dwanaście lat przed dniem, w którym Biroteau rozgościł się u starej panny, podjęła się ona hodować w zdrowiu i weselu księdza Troubert i księdza Chapeloud. Ksiądz Troubert żył, ksiądz Chapeloud umarł, a Biroteau zajął natychmiast jego miejsce.

<sup>13</sup>arabeska — rodzaj skomplikowanego ornamentu. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>arkada — luk wsparty na dwóch kolumnach. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>czas Terroru — krwawe rządy jakobinów w czasie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Restauracja — okres w historii Francji (1814–1830) związany z powrotem na tron dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>realność — tu wpływ, dochód. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>kapituła — rada sprawująca władzę w zakonie a. funkcjonująca przy katedrze. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>pelerynka — narzucona na sutannę była oznaką kanonika. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>hoc erat in votis (łac.) — o to się modliłem; tegom sobie właśnie życzył. [przypis edytorski]

Nieboszczyk ksiądz Chapeloud, za życia kanonik u św. Gracjana, był serdecznym przyjacielem księdza Birotteau. Za każdym razem kiedy wikary zaszedł do kanonika, stale podziwiał mieszkanie, meble i bibliotekę. Z tego podziwu zrodziła się pewnego dnia żądza posiadania tych pięknych rzeczy. Niepodobieństwem było księdzu Birotteau zdławić to pragnienie, które często zadawało mu straszny ból, skoro pomyślał, że jedynie śmierć najlepszego przyjaciela mogła zaspokoić to ukryte, ale wciąż rosnące pożądanie. Ksiądz Chapeloud i jego przyjaciel Birotteau nie byli bogaci. Obaj synowie chłopscy, nie mieli nic poza skąpą księżą płacą; szczupłe zaś oszczędności poszły na przetrwanie nieszczęsnej doby Rewolucji. Kiedy Napoleon przywrócił obrządek katolicki, zamianowano księdza Chapeloud kanonikiem św. Gracjana, a księdza Birotteau wikariuszem katedralnym. Wówczas Chapeloud wprowadził się do panny Gamard. Kiedy Birotteau odwiedził kanonika na nowej siedzibie, ujrzał mieszkanie bardzo wygodnie urządzone; ale nie widział w nim nic więcej. Początek tej żądzy podobny był do szczerzego uczucia, zaczynającego się niekiedy u młodego człowieka chłodnym podziwem dla kobiety, którą później pokocha na zawsze.

Mieszkanie to, do którego wiodły kamienne schody, znajdowało się w części domu położonej od południa. Ksiądz Troubert zajmował parter, a panna Gamard pierwsze piętro od frontu.

Kiedy Chapeloud objął swoje mieszkanie, pokoje były nagie, a sufity czarne od dymu. Kamienny i dość grubo rzeźbiony kominek nie był nigdy malowany. Za całe urządzenie biedny kanonik ustawił łóżko, stół, kilka krzeseł i tych niewiele książek, które posiadał. Mieszkanie podobne było do ładnej kobiety w lachmanach. Ale kiedy, w parę lat później, pewna stara dama zapisała księdzu Chapeloud dwa tysiące franków, obrócił tę sumę na zakup dużej dębowej biblioteki, pochodzącej z zamku, rozszarpanego przez Czarną Bandę, a uderzającej rzeźbami godnymi podziwu artystów. Ksiądz nabył tę szafę skuszony nie tyle niską ceną, ile zupełną zgodnością jej rozmiarów z rozmiarami sieni. Oszczędności jego pozwoliły mu wówczas odnowić całkowicie salonik, aż dotąd biedny i zaniedbany. Wywoskowano starannie posadzkę, wybielono sufit, pomalowano boazerię tak, aby imitowała słoje i sęki dębowe. Marmurowy kominek zajął miejsce dawnego. Kanonik miał na tyle gustu, aby wyszukać stare rzeźbione orzechowe fotele. Wreszcie długi hebanowy stół i dwa meble Boullé'a<sup>21</sup> dały tej izbie fizjonomię pełną charakteru. W ciągu dwóch lat, hojność pobożnych osób oraz legaty<sup>22</sup> penitentek, mimo że skromne, wypełniły książkami puste zrazu półki biblioteczne. Wreszcie wuj ks. Chapeloud, były Oratorianin<sup>23</sup>, zapisał mu swoją kolekcję *in folio*<sup>24</sup> Ojców Kościoła i wiele innych dzieł cennych dla duchownego. Birotteau, coraz bardziej zdumiony przeobrażeniami tej gołej niegdyś izby, doszedł stopniowo do mimowolnej pożyteczności. Zapragnął posiadać ten gabinet, tak zestrojony z powagą stanu duchownego. Namietność ta rosła z dnia na dzień. Pracując przez całe dni w tym ustroniu, wikariusz<sup>25</sup> mógł ocenić ciszę i spokój mieszkania, które zrazu zachwyciło go swoim wygodnym rozkładem. W ciągu następnych lat Chapeloud uczynił ze swej celi modlitewnię, którą jego nabożne przyjaciółki skwapliwie upiększały. Jeszcze później, dama jakaś ofiarowała kanonikowi haftowany fotel, który sama przez długi czas robiła pod okiem tego sympatycznego człowieka, nie domyślającego się jego przeznaczenia. Wówczas z sypialnią stało się to, co z gabinetem; ołśniła wikarego. Wreszcie, na trzy lata przed śmiercią, ksiądz Chapeloud dopełnił upiększeń w swoim mieszkaniu, strojąc salon. Meble, mimo iż po prostu obite czerwonym utrechtckim aksamitem, oczarowały księdza Birotteau. Od dnia, w którym ujrzał franki w czerwone pasy, mahoniowe meble, dywan, i cały ten obszerny nowo pomalowany pokój, mieszkanie ks. Chapeloud stało się dla niego przedmiotem tajemnej monomanii<sup>26</sup>. Mieszkać tam, położyć się w łóżku o sutych jedwabnych frankach, gdzie sypiał kanonik, mieć koło siebie wszystkie te wygody, to był dla ks. Birotteau szczyt szczęścia: nie widział nic ponadto.

Marzenie

<sup>21</sup>Boullé, Charles André Boullé (1642–1732) — fr. projektant luksusowych i kosztownych mebli z czasów Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>legat — zapis testamentowy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>oratorianin — członek katolickiego stowarzyszenia osób duchownych lub świeckich, w którym nie ma obowiązku składania ślubów zakonnych, założonego w XVI w. przez Filipa Neri. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>in folio (łac.) — w typografii jednokrotnie złożony arkusz papieru, ogólnie: duży format. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>wikariusz — zastępca w Kościele katolickim bądź ewangelickim. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>monomania — obłąd polegający na opanowaniu umysłu przez jedną natrączywą myśl. [przypis edytorski]



Wszystkie pragnienia i ambicje lęgnące się w sercu ludzi skupiły się w księdzu Birotteau w tajemnym i głębokim uczuciu, z jakim pragnął mieszkania podobnego do gniazdka księdza Chapeloud. Ilekroć przyjaciel zachorował, ksiądz Birotteau przybiegał wiedziony niewątpliwie szczerym przywiązaniem; ale, kiedy się dowiadywał o jego niemocy lub też kiedy mu dotrzymywał towarzystwa, rodziło się mimo woli w głębi jego duszy tysiąc myśli, których najprostszym wyrazem było zawsze:

— Gdyby Chapeloud umarł, może dostałbym jego mieszkanie.

Że jednak Birotteau miał zacne serce, ciasny umysł i ograniczoną inteligencję, nie przychodziło mu na myśl uczynić cośkolwiek w tym celu, aby mu przyjaciel zapisał bibliotekę i meble.

Ksiądz Chapeloud, miły i pobłażliwy egoista, odgadł namiętność przyjaciela, co nie było trudne, i przebaczył mu ją, co może się wydać mniej łatwe u księdza. Ale też wikary, którego przyjaźń była wciąż niezmienna, przechadzał się co dzień z przyjacielem w tej samej alei, nie mając do niego ani przez chwilę żalu o czas, który od dwudziestu lat poświęcał na tę przechadzkę. Birotteau, który uważał swoje mimowolne pragnienia za grzech, byłby zdolny za pokutę do najgłębszych poświęceń. Kanonik spłacił dług wobec tak naiwnie szczerego braterstwa, mówiąc na kilka dni przed śmiercią do wikarego, który mu czytał „*Quotidienne*”<sup>27</sup> :

— Tym razem dostaniesz mieszkanie. Czuję, że już koniec ze mną.

W istocie, ksiądz Chapeloud zapisał księdzu Birotteau bibliotekę i meble. Posiadanie tych rzeczy, tak żywo upragnionych, oraz nadzieja zostania pensjonariuszem panny Gamard, złagodziły znacznie boleść, jaką zadała księdzu Birotteau strata przyjaciela: nie byłby go może wskrzesił, ale płakał po nim. Przez kilka dni był jak Gargantua<sup>28</sup>, gdy mu żona umarła, dając życie Pantagruelowi<sup>29</sup> : nie wiedział, czy ma się cieszyć z narodzin syna, czy też martwić się, iż pochował pocziwą Badbek; i wciąż mylił się, ciesząc się ze śmierci żony, a oplakując urodzenie Pantagruela. Ks. Birotteau spędził pierwsze dni żałoby na sprawdzaniu tomów *swojej* biblioteki, na posługiwaniu się *swoimi* meblami, na oglądaniu ich; przy czym, tonem, którego na nieszczęście nikt nie mógł zapisać, mówił: „Biedny Chapeloud!” Radość jego i ból tak go pochłonięły, że nie uczuł żadnej przykrości widząc, że kto inny otrzymał kanonikę, której sukcesji nieboszczyk Chapeloud spodziewał się dla przyjaciela. Panna Gamard z przyjemnością wzięła wikariusza na pensję; jakoż odtąd dostąpił wszystkich materialnych szczęśliwości życia, które mu wychwalał zmarły kanonik. Nieobliczalne korzyści! Wedle tego, co mówił nieboszczyk Chapeloud, żaden z księży mieszkających w Tours, nie wyjmując arcybiskupa, nie był z pewnością przedmiotem równie delikatnych, równie drobiazgowych starań, jak te, którymi panna Gamard otaczała swoich dwóch pensjonariuszy.

Pierwsze słowa kanonika, kiedy się spotykał z przyjacielem na przechadzce, tyczyły prawie zawsze smacznego obiadku, który właśnie spożył. Rzadko się zdarzyło, aby, w ciągu siedmiu spacerów w tygodniu, nie powiedział przynajmniej czternaście razy:

— Ta pocziwa dziewczyna ma wyraźne powołanie do służby duchownej.

— Pomyśl — mówił Chapeloud do ks. Birotteau — przez dwanaście lat z rządu, bielizna, alby, komże, rabaty, nic nigdy nie brakowało. Zawsze znajduję każdą rzecz na miejscu, w dostatecznej ilości, pachnącą irysem. Meble wyczyszczone i wytarte tak, że od dawna nie wiem po prostu, co to kurz. Czy widziałeś kiedy u mnie bodaj źdźbło kurzu? Nigdy! Drzewo na opał piękne, suche, każda rzecz wyborowa; zdawałoby się, że panna Gamard ma ustawiczne oko w moim pokoju. Nie przypominam sobie, abym w ciągu dziesięciu lat zadzwonił dwa razy, by prosić o cokolwiek. To się nazywa żyć! Nie musieć niczego szukać, nawet pantofli! Mieć zawsze dobry ogień, dobry stół. Na przykład mieszek<sup>30</sup> mój mnie niecierpliwiał, źle ciągnął. Nie poskarżyłem się ani dwa razy: Już! na drugi dzień panna Gamard dała mi bardzo ładny mieszek i te szczypczyki, którymi, jak widziałeś, grzebię sobie w ogniu.

Birotteau, za całą odpowiedź, szeptał tylko:

— Pachnące irysem!

<sup>27</sup> *Quotidienne* — fr. gazeta codzienna. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *Gargantua* — olbrzym, bohater powieści *Gargantua i Pantagruel* François Rabelais'go. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *Pantagruel* — syn Gargantui z powieści *Gargantua i Pantagruel* François Rabelais'go. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *mieszek* — mały miech, stosowany przy rozniecaniu ognia. [przypis edytorski]

To *pachnące irysem* wruszało go zawsze. Słowa kanonika odsłaniały szczęście fantastyczne dla biednego wikarego, który miał wieczny kłopot ze swymi albami i rabatami, nie miał bowiem zmysłu porządku i dość często zapominał zadysponować obiadem. To też, czy to gdy obchodził kościół z kwestą<sup>31</sup>, czy gdy odprowadzał mszę, ilekroć spostrzegł pannę Gamard, zawsze obejmował ją słodkim i życzliwym spojrzeniem, takim, jakie święta Teresa mogła ślać w niebo.

Szczęście, którego pragnie każde stworzenie i o którym tak często marzył wikary, ziściło się. Ale, ponieważ trudno jest komukolwiek, nawet księdzu, żyć bez jakiejś pasji, od pół roku ksiądz Birotteau zastąpił swoje dwie zaspokojone namiętności żądzą pelerynki. Tytuł kanonika stał się dla niego tym, czym godność Para<sup>32</sup> dla ministra-plebejusza. Toteż możliwość tej nominacji, nadzieje jakie mu dano u pani de Listomere, tak mocno zawróciły mu w głowie, iż dopiero wróciwszy do domu przypomniał sobie, że zostawił parasol. Gdyby nie deszcz, który lał jak z cebra, może nie byłby sobie w ogóle o tym przypomniał, tak bardzo był pochłonięty. Z rozkoszą przetrawiał w myśli wszystko, co mu powiedziały w przedmiocie jego promocji osoby bywające u pani de Listomere, starszej damy, u której spędzał wieczór co środę. Wikary zadzwonił żywo, jak gdyby chcąc tym wyrazić służącej, aby mu nie kazała czekać. Następnie przytulił się do bramy, aby jak najmniej zmoknąć; ale woda spływająca z dachu padała mu właśnie na końce trzewików, a wiatr kierował na niego raz po raz strugi deszczu dość podobne do tuszu. Oczekawszy czasu potrzebnego, aby służąca mogła wyjść z kuchni i pociągnąć za sznurek, którym otwierało się bramy, wikary zadzwonił ponownie, i to tak, aby uczynić bardzo wymowny hałas.

— Nie mogły przecież wyjść — powiadał sobie, nie słysząc w domu żadnego odgłosu.

I zaczął dzwonić po raz trzeci, a dzwonek, powtórzony donośnie przez wszystkie echa katedry, rozległ się tak cierpko, że niepodobna było się nie obudzić. Toteż, w dobrą chwilę potem, usłyszał, nie bez pewnej przyjemności zaprawnej irytacją, saboty<sup>33</sup> służącej łomoczące po bruku. Mimo to udręki jego podagry nie skończyły się tak prędko, jak ksiądz się spodziewał. Zamiast pociągnąć za sznurek, Marianna musiała otworzyć drzwi wielkim kluczem oraz odsunąć rygle.

— Jakże ty możesz dać mi trzy razy dzwonić w takiej chwili? — rzekł do Marianny.

— Przecie ksiądz widzi, że brama była zamknięta. Wszyscy od dawna śpią, były już trzy kwadransy na dziesiątą. Nasza pani myślała pewnie, że ksiądz jest w domu.

— Ale tyś mnie przecież widziała, jak wychodziłem! Zresztą pani wie dobrze, że bywam u pani de Listomere co środę.

— Cóż powiem, proszę księdza? Zrobiłam, jak mi pani kazała — odparła Marianna zamykając bramy.

Słowa te zadały księdzu Birotteau cios, który był tym dotkliwszy w porównaniu z doskonałym szczęściem, w jakim właśnie tonął w marzeniu. Zamilkł, i udał się za Marianną do kuchni, aby wziąć świecę, w przekonaniu, że ją tam zostawił. Ale zamiast wejść do kuchni, Marianna zaprowadziła księdza na górę, gdzie ujrzał w przedpokoju swój lichtarz na stole. Niemy ze zdumienia, wszedł szybko do pokoju, zobaczył że nie ma ognia na kominku i przywołał Mariannę, która jeszcze nie zdążyła odejść.

— Nie zapaliłaś ognia? — rzekł.

— Przepraszam księdza — odparła. — Musiał zgasnąć.

Birotteau spojrział na nowo na kominek i przekonał się, że był nietknięty od rana.

— Muszę wysuszyć nogi — odparł — rozpal ogień.

Marianna usłuchała z pośpiechem osoby, której się widocznie chce spać. Szukając sam swoich pantofli i nie znajdując ich, jak bywało zwykle, na dywaniku, ksiądz przyglądał się Mariannie i uczynił parę spostrzeżeń, świadczących, że ona nie wstała prosto z łóżka, jak twierdziła. Uprzytomnił sobie wówczas, że od dwóch tygodni pozbawiono go wszystkich owych drobnych wygod, które przez półtora roku uczyniły mu życie tak słodkim. Otóż, ponieważ ciasne umysły skłonne są z natury do roztrząsania drobiazgów, pograżył

<sup>31</sup>kwesta (z łac.) — zbiórka pieniędzy. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>godność Para — tytuł wysokiej szlachty i duchowieństwa, w latach 1814–1848 tytuł członka wyższej izby parlamentu francuskiego. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>saboty — rodzaj drewnianych butów. [przypis edytorski]

się z miejsca w głębokich dumaniach nad tymi czterema wypadkami, które, niedostrzegalne dla kogo innego, dla niego stanowiły cztery katastrofy. Była to oczywiście zupełna ruina jego szczęścia; to zapomnienie pantofli, to kłamstwo Marianny o ogniu na kominku; to niesłychane przeniesienie lichtarza do przedpokoju, i wreszcie ta przymusowa kwarantanna w deszcz pod bramą.

Kiedy ogień błysnął na kominku, kiedy zapalono lampkę nocną, i kiedy Marianna opuściła pokój, nie spytawszy, jak czyniła niegdyś: „Czy księdzu jeszcze czego nie potrzeba?“, ksiądz Birotteau zanurzył się łagodnie w pięknej i obszernej berzerce<sup>34</sup> zmarłego przyjaciela; ale ruch, jakim się w nią osunął, miał coś smutnego. Oblegało nieboraka przecucie jakiegoś straszliwego nieszczęścia. Oczy jego wędrowały kolejno po pięknej szafie, komodzie, krzesłach, firankach, dywanach, po obszernym łóżku, kropielnicy, krucyfik-sie, *Dziewicy* Valentyna, *Chrystusie* Lebruna<sup>35</sup>, słowem po wszystkich przedmiotach; a na jego twarzy odbił się ból najtkliwszego pożegnania, jakim kiedykolwiek kochanek darzył pierwszą kochankę lub starzec swoje ostatnie zasadzone drzewa. Wikary poznał w tej chwili, nieco późno co prawda, oznaki cichego prześladowania, uprawianego na nim od trzech miesięcy przez pannę Gamard. Człowiek inteligentny byłby z pewnością odgadł jej niechęć o wiele wcześniej. Alboż wszystkie stare panny nie mają specjalnego talentu akcentowania uczynków i słów, jakie podsuwa nienawiść? Drapią podobnie jak koty. Przy tym nie tylko ranią, ale doznają rozkoszy w tym, aby ranić i aby pokazać ofierze, że ją zraniły. Tam, gdzie człowiek obyty w świecie nie dałby się drasnąć dwa razy, poczciwemu Birotteau trzeba było kilku uderzeń łapą w twarz, zanim uwierzył w złą intencję.

Natychmiast, z ową drobiazgową bystrością, jakiej nabywają księża nawykli zgłębiać sumienia i roztrząsać błahostki przy konfesjonale, ksiądz Birotteau zaczął budować — jak gdyby chodziło o kontrowersję religijną — następujący pewnik:

— Przypuściwszy, że panna Gamard zapomniała o wieczorze u pani de Listomere, że Marianna zapomniała rozpaścić ogień, że myślały, że wróciłem; zważywszy, że zniosłem dziś rano — i to osobiście! — *mój lichtarz!!!* niepodobieństwem jest, aby panna Gamard, widząc go u siebie w sali, mogła przypuszczać, że ja jestem w domu. *Ergo*<sup>36</sup>, panna Gamard chciała mnie wytrzymać pod bramą w deszcz; każąc zaś odnieść lichtarz na górę, miała zamiar okazać mi... — Co? — rzekł głośno, przejęty grozą wypadków, wstając aby zdjąć mokrą odzież, wziąć szlafrok i fular<sup>37</sup> na głowę.

Następnie przeszedł od łóżka do kominka, gestykulując i rzucając na rozmaite tony następujące zdania, każde zakończone falsetem<sup>38</sup>, jakby dla zamarkowania wykrzykników:

— Cóż ja jej, u diaska, zrobiłem? Czego ona chce ode mnie? Marianna nie mogła zapomnieć o ogniu! To ona jej powiedziała, aby nie palić! Trzeba by być dzieckiem, aby nie spostrzec, z jej tonu i zachowania, że ona ma coś do mnie. Nigdy księdzu Chapeloud nie zdarzyło się nic podobnego! Niepodobna mi będzie żyć z takim dokuczaniem... W moim wieku!...

Ksiądz położył się w nadziei wyświecenia nazajutrz przyczyn nienawiści, niweczącej na zawsze owo szczęście, którym cieszył się od dwóch lat, wytęskniwszy się za nim tak długo. Niestety! Tajemne pobudki uczuć panny Gamard miały dla niego zostać na wieki nieznanne, nie dlatego, aby je trudno było odgadnąć, ale dlatego, że nieborakowi brak było owej szczerości, z jaką ludzie wyżsi i hultaje umieją wejrzeć w siebie i osądzić się. Jedyne genialny człowiek lub filut umie sobie powiedzieć: „Zbłądziłem”. Interes i talent, to jedyni sumienni i bystrzy doradcy. Otóż, ksiądz Birotteau, którego poczciwość graniczyła z głupotą, którego wykształcenie było jakby inkrustacją<sup>39</sup> wtłoczoną wysiłkiem pracy, nie miał najmniejszego pojęcia o świecie i o życiu. Żył między mszą a konfesjonalem, wielce zajęty rozstrzygnięciem najłżejszych skrupułów sumienia jako spowiednik miejscowych pensjonatów, oraz kilku zacnych dusz, które umiały go cenić. Było to wielkie dziecko, któremu mechanizm społeczny był prawie zupełnie obcy. Jedyne egoizm

<sup>34</sup>*berzerka* — niski i szeroki fotel z wyściełanym, pełnym oparciem i siedzeniem. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Le Brun, Charles* (1683–1686) — fr. malarz okresu baroku. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*ergo* (łac.) — więc. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*fular* — tkanina jedwabna bądź wykonana z niej chustka zastępująca krawat. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*falset* — nienaturalnie wysoki głos męski. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*inkrustacja* — dekoracja umieszczana na powierzchni przedmiotu dekoracji, wykonywana z innego niż on materiału. [przypis edytorski]

wrodzony wszystkim ludzkim istotom, wzmocniony swoistym egoizmem księżym, oraz ciasnym egoizmem prowincji, rozwinął się w nim nieznacznie i mimo jego wiedzy. Gdyby ktoś zadał sobie ten trud, aby zgłębić duszę wikarego i wykazać mu, że w nieskończeniu drobnych szczegółach jego egzystencji oraz drobnych obowiązkach jego prywatnego życia brak mu zasadniczo owego poświęcenia, które głosił, byłby się sam ukarał, umartwiłby się z dobrą wiarą. Ale ci, których zdraśniemy, nawet bezwiednie, nie troszczą się o naszą nieświadomość, chcą i umieją się zemścić. Zatem Birotteau, mimo iż mały człeczyna, miał paść ofiarą owej wielkiej Sprawiedliwości, która nieodmiennie każe światu spełniać swoje wyroki, zwane przez wielu dudków<sup>40</sup> *nieszczęściami życia*.

Pomiędzy nieboszczykiem ks. Chapeloud a wikarym była ta różnica, że jeden był egoistą zręcznym i sprytnym, a drugi egoistą szczerym i naiwnym. Kiedy ksiądz Chapeloud osiadł u panny Gamard, umiał doskonale ocenić charakter swojej gospodyni. Konfesjonał zdradził mu, ile goryczy wytwarza w sercu starej panny nieszczęście stawiające ją poza obrębem społeczeństwa; wytyczył tedy rozważnie plan swego postępowania. Gospodyni, licząca dopiero trzydzieści osiem lat, zachowała jeszcze pewne pretensje, które, u takich szarych osób, zmieniają się później w wysokie mniemanie o sobie. Kanonik zrozumiał, że, aby dobrze żyć z panną Gamard, musi zawsze mieć dla niej tę samą uprzejmość i te same względy, być bardziej nieomylny niż sam papież. Aby to osiągnąć, ograniczył się w stosunkach z nią jedynie do tego, co nakazuje prosta uprzejmość oraz stopień zażyłości wytwarzający się między osobami mieszkającymi pod jednym dachem, i tak, mimo że ks. Troubert i on jadali regularnie trzy razy dziennie, wymówił się od wspólnego śniadania, przyuczając pannę Gamard, aby mu posyłała do łóżka kawę ze śmietanką. Następnie oszczędził sobie nudów po kolacji, wychodząc na herbatę do znajomych domów. W ten sposób rzadko widywał swoją gospodynię poza obiadem, ale na obiad przychodził zawsze trochę wcześniej. W czasie tej niby wizyty, zawsze, przez dwanaście lat, które spędził pod jej dachem, zadawał jej te same pytania, otrzymując te same odpowiedzi. Zainteresowanie tym, czy dobrze spała, śniadanie, drobne sprawy domowe, jej wygląd, zdrowie, pogoda, czas trwania nabożeństw, epizody w czasie mszy, wreszcie zdrowie tego lub owego księdza, oto były tematy tej codziennej rozmowy. Przy obiedzie operował zawsze metodą delikatnego pochlebstwa, raz po raz przechodząc od zalet ryby, od delikatności zasmażki lub przymiotów sosu do przymiotów panny Gamard i jej zalet jako gospodyni. Umiał zręcznie głaskać próżnostki starej panny, chwalać jej konfitury, korniszony, konserwy, pasztety i inne gastronomiczne wymysły. Nigdy wreszcie sprytny kanonik nie opuścił żółtego saloniku, nie powiedziałszy jej wprzód, że nigdzie, w całym Tours, nie pija się równie dobrej kawy.

Dzięki temu doskonałemu zrozumieniu charakteru panny Gamard, oraz tej sztuce życia uprawianej przez kanonika przez dwanaście lat, nigdy nie przyszło pomiędzy nimi do najmniejszego nieporozumienia. Ksiądz Chapeloud poznał od razu wszystkie kanty, szorstkości, zadziory starej panny i uregulował nieuniknione punkty styczności w ten sposób, aby uzyskać od niej wszystko, co było potrzebne dla szczęścia i spokoju jego życia. Toteż panna Gamard mówiła, że ks. Chapeloud jest to człowiek bardzo miły, łatwy w pożyciu i nader dowcipny. Co się tyczy ks. Troubert, dewotka nie mówiła o nim bezwarunkowo nic. Zupełnie wszedłszy w krąg jej życia jak satelita w sferę swej planety, Troubert był dla niej czymś pośrednim między człowiekiem a psem; mieścił się w jej sercu tuż przed miejscem przeznaczonym dla przyjaciół oraz dla wielkiego dychawicznego<sup>41</sup> mopsa, którego kochała tkliwie. Władza nim całkowicie. Zespolenie ich interesów posunęło się tak daleko, iż wiele osób żyjących blisko z panną Gamard mniemało, że ksiądz Troubert dybie na majątek starej panny, że ją przywiązuje do siebie bezgraniczną cierpliwością i powoduje<sup>42</sup> nią tym skuteczniej udając, że sam jej słucha i nie zdradzając najmniejszej chęci do władzy.

Kiedy ksiądz Chapeloud umarł, stara panna, która chciała mieć spokojnego pensjonariusza, pomyślała z natury rzeczy o wikarym. Zanim jeszcze otwarto testament kanonika, już panna Gamard zamyśliła oddać mieszkanie zmarłego swemu poczciwemu księdzu Troubert, uważając, że mu jest niedobrze na parterze. Ale kiedy ks. Birotteau przyszedł

Interes

<sup>40</sup>dudek (daw.) — głupek. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>dychawiczny (daw.) — chory na astmę. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>powodować (daw.) — kierować. [przypis edytorski]

spisywać ze starą panną warunki, ujrzała, że tak jest rozkochany w tym mieszkaniu, którego pożądał tak długo, dziś dopiero mogąc zdradzić siłę swoich pragnień, iż nie śmiała mu wspomnieć o zamianie. Przyjaźń podporządkowała względom interesu. Aby pocieszyć ukochanego kanonika, dała w jego mieszkaniu posadzkę zamiast podłogi i przebudowała kominek, który dymił.

Ksiądz Birotteau odwiedzał przez dwanaście lat przyjaciela swego ks. Chapeloud, przy czym nigdy nie przyszło mu na myśl dochodzić, skąd pochodzi jego niezmierna oględność w stosunkach z panną Gamard. Kiedy się sprowadził do tej świątobliwej panienci, znajdował się w sytuacji kochanka, który doczekał się uwieńczenia swych pragnień. Gdyby nawet z natury nie był ślepy, oczy jego zanadto były olśnione szczęściem, aby mógł przejrzeć pannę Gamard i zastanowić się nad sposobem unormowania codziennych stosunków. Panna Gamard, widziana z daleka przez pryzmat doczesnych szczęśliwości, jakie wikary marzył w jej domu, zdawała mu się istotą doskonałą, wzorową chrześcijanką, osobą pełną miłości bliźniego, niewiastą ewangeliczną, panną mądrą, strojną w owe ciche i skromne cnoty, nasycające życie niebiańskim zapachem. Toteż, z całym zachwytem człowieka, który dochodzi do dawno upragnionego celu, z naiwnością dziecka oraz nieopatrznością starca nieznającego świata, wszedł w życie panny Gamard, jak mucha łapie się w sieć pająka. I tak, pierwszego dnia kiedy miał jeść i spać w jej domu, został w salonie, wiedziony pragnieniem bliższego poznania, a również owym dziwnym zakłopotaniem, które tak często paraliżuje ludzi nieśmiałych: wydaje się im, że będą niegrzeczni, jeżeli przerwą rozmowę, aby się pożegnać. Został tedy na cały wieczór. Druga stara panna, przyjaciółka ks. Birotteau, panna Salomon de Villenoix, przyszła tego wieczora. Uszczęśliwiona panna Gamard złożyła partyjkę bostona<sup>43</sup>. Kładąc się spać, wikary pomyślał, że spędził bardzo miły wieczór. Znając jeszcze bardzo niewiele pannę Gamard i księdza Troubert, widział jedynie powierzchownie ich charakterów. Mało kto odsłania od razu swoje wady. Na ogół każdy stara się przybrać powabną maskę. Ks. Birotteau powziął tedy uroczy projekt poświęcenia swoich wieczorów pannie Gamard, zamiast je spędzać w mieście.

Osoba ta hodowała od kilku lat pragnienie, które potęgowało się w niej z każdym dniem. Pragnienie to, z rzędu tych, które hodują starcy a nawet ładne kobiety, stało się u niej namiętnością podobną namiętności księdza Birotteau do mieszkania swego przyjaciela. Tkwiło ono w sercu starej panny korzeniami pychy i egoizmu, zazdrości i próżności, jakie istnieją u ludzi światowych. Wieczna historia: wystarczy rozszerzyć nieco ciasny krąg, w którym poruszają się te osoby, aby otrzymać wzór wypadków zachodzących w najwyższych sferach towarzyskich.

Panna Gamard spędzała wieczory kolejno w sześciu czy ośmiu rozmaitych domach. Czy to dolegało jej, że musi szukać ludzi i czuła się w prawie w swoim wieku żądać od nich wzajemności; czy raniło jej miłość własną, że nie ma własnego towarzystwa; czy wreszcie próżność jej żądała pochlebstw i względów, jakimi cieszyły się jej przyjaciółki, dość że całą jej ambicją było uczynić swój salon punktem zbornym, do którego co wieczór pewna ilość osób dążyłaby z *przyjemnością*. Kiedy Birotteau i jego przyjaciółka, panna Salomon, spędzili w niej kilka wieczorów w towarzystwie wiernego i cierpliwego księdza Troubert, pewnego wieczora, wychodząc od św. Gracjana, panna Gamard oznajmiła przyjaciółkom, których dotąd czuła się jakby niewolnicą, że osoby pragnące ją widzieć, mogą ją odwiedzać raz na tydzień u niej w domu, gdzie zbiera się grono przyjaciół dość liczne, aby złożyć partyjkę bostona. Nie godzi się jej — mówiła — zostawiać samego księdza Birotteau, swego nowego pensjonariusza; panna Salomon nie opuściła jeszcze ani jednego dnia; ma obowiązki wobec swych przyjaciół... i to, i owo... itd., itd. Słowa te były tym pokorniej dumne i tym obficie słodkawe, iż panna Salomon de Villenoix należała do najbardziej arystokratycznego towarzystwa w Tours. Mimo iż panna Salomon przychodziła jedynie przez przyjaźń do wikarego, panna Gamard pyszniła się, że ją ma w swoim salonie, i czuła się, dzięki księdzu Birotteau, bliska ziszczenia wielkiego planu: stworzyć kółko równie liczne, równie miłe jak salon pani de Listomere, panny Merlin de la Blottiere i innych dewotek, podejmujących nabożne towarzystwo w Tours! Ale, niestety, ksiądz Birotteau unicestwił zamiary panny Gamard. Otóż, jeżeli wszyscy ci, którzy osiągnęli w życiu od

Pozycja społeczna

Próżność

<sup>43</sup>boston — gra karciana. [przypis edytorski]

dawna upragnione szczęście, zrozumieli radość, jaką mógł czuć wikary, kładąc się w łóżku księdza Chapeloud, powinni również wytworzyć sobie lekkie pojęcie o zgryzocie, jaką sprawiło pannie Gamard zalenie jej ulubionego planu. Ścierpiawszy przez pół roku dość powolnie swoje szczęście, Birotteau pierzchnął z jej domu, uprowadzając z sobą pannę Salomon. Mimo niesłychanych wysiłków, ambitna Gamard zebrała ledwie jakieś pięć czy sześć osób, uczęszczających dość nieregularnie, potrzeba zaś było co najmniej czworo wiernych, aby podtrzymać bostona. Trzeba jej tedy było skruszyć się i wrócić do dawnych przyjaciółek, stare panny bowiem czują się zbyt lichy we własnym towarzystwie, aby się mogły obejść bez wątpliwych przyjemności świata.

Przyczynę tej dezercji łatwo odgadnąć. Mimo iż wikary był z rzędu tych, do których ma kiedyś należeć raj na mocy wyroku: *Błogosławieni ubodzy duchem!* — nie mógł, jak wielu ludzi głupich, znosić nudy, o jaką go przyprawiali inni głupcy. Ludzie nieinteligentni podobni są do chwastów, które lubują sobie w dobrej glebie; ponieważ sami się nudzą, tym bardziej potrzebują, aby ich bawiono. Wcielenie nudy, której są pastwą, połączone z ustawiczną potrzebą ucieczki od samych siebie, wytwarza tę namiętność ruchu, tę ciągłą potrzebę bycia tam, gdzie ich nie ma. To ich cecha, podobnie jak cecha istot pozbawionych czucia, oraz tych, którzy chybią w życiu swego losu lub cierpią z własnej winy. Nie zgłębiając nadto pustki i nicości panny Gamard, ani też nie tłumacząc sobie ciasnoty jej myśli, biedny ksiądz Birotteau spostrzegł (nieco późno, na swoje nieszczęście) wady, jakie dzieliła z wszystkimi starymi pannami, oraz te, które posiadała osobiście. Zło, oglądane w drugich, odcina się tak wyraźnie od dobrego, iż uderza nas prawie zawsze w oczy, zanim nas jeszcze zrani. Ten objaw moralny mógłby usprawiedliwić skłonność, która nas mniej lub więcej popycha do obmowy. Tak naturalną rzeczą jest drwić sobie z ułomności drugich, iż powinniśmy wybaczyć uszczypliwe plotki usprawiedliwione naszymi śmiesznościami i dziwić się jedynie potwarzy. Ale oczy poczciwego wikarego nigdy nie osiągnęły tego punktu optycznego, który pozwala światowcom dojrzeć rychło kolce sąsiada i uniknąć ich; iżby tedy poznał wady swej gospodyni, musiał uczuć przestrożę, jakiej natura udziela wszystkim stworzeniom: ból! Stare panny, nie nagiąwszy swego charakteru i życia do cudzego życia i charakteru, jak tego wymaga dola kobiety, mają przeważnie tę manię, aby wszystko dokoła siebie nagiąć do siebie. U panny Gamard skłonność ta wyrodziła się w despotyzm; ale ten despotyzm umiał się wyrazić tylko w drobiazgach. Tak więc, wśród tysiąca przykładów, koszyczek z fiszkami<sup>44</sup> i sztonami<sup>45</sup>, postawiony na stoliku do kart dla księdza Birotteau, powinien być zostać tam, gdzie go położyła; i ksiądz drażnił ją wielce, przesuwając ten koszyczek, co zdarzało się prawie co wieczór. Skąd pochodziła owa drażliwość tak niemądrze czepiająca się błahostek i jaki był jej cel? Nikt by tego nie umiał powiedzieć, panna Gamard sama nie wiedziała. Mimo iż z natury potulny jak owca, nowy pensjonariusz — tak samo jak i owce zresztą — nie lubił zbyt często czuć laski pastuszej, zwłaszcza opatrzonej kolcem. Nie tłumacząc sobie bezgranicznej cierpliwości księdza Troubert, Birotteau zrezygnował ze szczęścia, które panna Gamard chciała mu przyrządzać na swój sposób, sądziła bowiem, że ze szczęściem jest tak jak z konfiturami. Ale nieborak, wskutek naiwności swego charakteru, wziął się do rzeczy dość niezręcznie; rozstanie nie obeszło się tedy bez kwasów i szpileczek, na które ksiądz Birotteau silił się okazać obojętnym.

Z końcem pierwszego roku przeżytego pod dachem panny Gamard, wikariusz wrócił do swych dawnych obyczajów, spędzając dwa wieczory w tygodniu u pani de Listomere, trzy u panny Salomon, a dwa pozostałe u panny Merlin de la Blottiere. Osoby te należały do miejscowej arystokracji, do której panna Gamard nie miała wstępu. Toteż gospodyni dotkliwie odczuła ucieczkę księdza Birotteau, która dała jej poznać własną nicość: wszelki wybór mięci w sobie wzgardę porzuconego przedmiotu.

— Ksiądz Birotteau nie czuł się dobrze w naszym towarzystwie — powiadał ksiądz Troubert przyjaciółom panny Gamard, kiedy musiała poniechać swoich wieczorów. — To inteligencja, smakosz! Jemu trzeba wielkiego świata, zbytku, dowcipnej rozmowy, ploteczek...

<sup>44</sup>fiszka — znaczek używany do płacenia w czasie gry, później wymieniany na pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>szton — dziś: żeton. [przypis edytorski]

Słowa te pobudzały zawsze pannę Gamard do wysławiania swego charakteru kosztem księdza Birotteau.

— Nie taka znów inteligencja — mówiła. — Gdyby nie ksiądz Chapeloud, nigdy by się nie wszrubował<sup>46</sup> do pani de Listomere. Och! Wiele straciłam, tracąc księdza Chapeloud. Cóż za miły człowiek, jaki łatwy w stosunkach! Dość powiedzieć, że w ciągu dwunastu lat nie miałam z nim najmniejszego zajścia ani przykrości.

Panna Gamard przedstawiła księdza Birotteau w świetle tak ujemnym, że w tym mieszczańskim świecie, potajemnie zawistnym o świat arystokratyczny, zyskał opinię człowieka bardzo przykrego i nieznośnego w pożyciu. Następnie stara panna miała przez kilka tygodni tę przyjemność, iż słuchała ubolewań swoich przyjaciółek, które, nie myśląc ani słowa z tego, co mówiły, powtarzały jej bez ustanku: „Jak to, pani, taka zgodna i dobra, pani ściągnęła na siebie niechęć...?” Albo: „Niech się pani pocieszy, droga pani Gamard, zanadto dobrze panią znają, aby...” etc.

Ale wszyscy w duchu błogosławili wikariusza, uszczęśliwieni, iż ominął ich jeden wieczór w tygodniu w *Klasztorze*, miejscu najbardziej odludnym, posępnym i oddalonym od centrum w całym Tours.

Między osobami wciąż stykającymi się z sobą, nienawiść i miłość wciąż wzrastają: znajduje się co chwila nowe przyczyny, aby się bardziej kochać lub nienawidzić. Toteż ksiądz Birotteau stał się dla panny Gamard nie do zniesienia. W półtora roku od swego osiedlenia, w chwili gdy poczciwiec widział błogi spokój w milczeniu nienawiści i rad był, że tak dobrze ułożył swoje stosunki ze starą panną, w istocie stał się dla niej celem tajemnej naganki i chłodno obmyślonej zemsty. Dopiero te cztery fundamentalne okoliczności: zamknięte drzwi, zapomniane pantofle, brak ognia, lichtarz przeniesiony do jego pokoju, zdołały mu odsłonić ową straszliwą nienawiść, której ostatnie ciosy miały nań spaść aż w chwili, gdy będą nie do naprawienia.

Usypiając tedy, zacny wikariusz łamał sobie daremnie biedną głowinę, aby sobie wytłumaczyć to tak szczególnie niegrzeczne postępowanie panny Gamard. Ponieważ swego czasu postąpił bardzo logicznie trzymając się naturalnych praw swego egoizmu, trudno mu było zrozumieć, w czym zawinił wobec gospodyni? O ile wielkie rzeczy łatwo jest pojąć i wyrazić, małostki życia wymagają wielu szczegółów. Wypadki, stanowiące niejako prolog tego mieszczańskiego dramatu, w którym wszakże namiętności są równie gwałtowne, co gdyby płynęły z wielkich przyczyn, wymagały tego długiego wstępu, i trudno byłoby wiernemu historykowi się ograniczyć.

Nazajutrz rano, po przebudzeniu, Birotteau tak usilnie myślał o swej kanonii, że nie pamiętał już czterech ostatnich okoliczności, w których ujrzał w wilię<sup>47</sup> złowrogą wróżbę przyszłych nieszczęść. Wikariusz nie był człowiekiem, który by wstał z łóżka bez ognia, zadzwonił tedy na Mariannę; po czym, wedle zwyczaju, utonął w pół-sennych rojeniach. Zwykle służąca, rozpalając ogień, wyrывała go łagodnie z tego ostatniego snu szmerem swoich pytań i swego krzątania. Ksiądz lubił ten rodzaj muzyki. Upłynęło pół godziny, a Marianna się nie zjawiła. Wikariusz — na wpół już kanonik — miał zadzwonić na nowo, ale puścił taśmę od dzwonka, słysząc na schodach męskie kroki. Był to ksiądz Troubert, który, zapukawszy dyskretnie, wszedł na zaproszenie gospodarza. Wizyta ta, którą dwaj księża wymieniali dość regularnie raz na miesiąc, nie zdziwiła wikariusza. Najpierw kanonik zdziwił się, że Marianna jeszcze nie roznieciła ognia u jego kolegi. Otworzył okno, ostro krzyknął na Mariannę, wzywając ją do księdza Birotteau, po czym, zwracając się do księdza, rzekł:

— Gdyby panna Gamard dowiedziała się, że ksiądz nie masz ognia, połajałaby<sup>48</sup> Mariannę.

To rzekłszy, zagadnął księdza o zdrowie i spytał łagodnie, czy ma jakieś nowiny co do swej nominacji. Wikariusz opowiedział mu o swych zabiegach i wymienił naiwne osoby, na które starała się wpłynąć pani de Listomere. Nie wiedział, iż Troubert nigdy

<sup>46</sup>wszrubować się (daw., pot.) — wkręcić się, włączyć się do jakiegoś towarzystwa. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>w wilię (daw.) — w przedzieln. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>łajać (daw.) — ostro krytykować, strofować. [przypis edytorski]

nie przebaczył owej pani tego, że nie mógł się dostać do jej domu, on, ksiądz Troubert, dwa razy już omal mianowany generalnym wikariuszem<sup>49</sup> diecezji!

Niepodobna znaleźć dwóch fizjonomii, które by pozostawiały więcej sprzeczności niż fizjonomie<sup>50</sup> tych dwóch księży. Troubert, wysoki i chudy, miał cerę śniadą i żółciową, podczas gdy wikariusz był co się nazywa pulchny. Twarz księdza Birotteau, okrągła i rumiana, wyrażała bezmyślną dobroduszość; gdy twarz Trouberta, długa i poorana głębokimi bruzdami, nabierała chwilami wyrazu pełnego ironii i wzgardy: trzeba było wszakże przyjrzeć mu się uważnie, aby odkryć te dwa uczucia. Zwyczajnie kanonik zachowywał zupełny spokój, mając powieki wciąż prawie opuszczone na dwoje piwnych oczu, których spojrzenie stawało się, kiedy zechciał, jasne i przenikliwe. Rude włosy dopełniały tej posępnej fizjonomii, bez ustanku powleczonej mrokiem poważnych dumań. Wiele osób mniemało zrazu, iż ksiądz Troubert pochłania jakąś wysoka i głęboka ambicja; ale ci, co go rzekomo znali lepiej, obalili w końcu to mniemanie, przedstawiając go jako człowieka ogłupionego despotyzmem panny Gamard lub też wyczerpanego nadmiernymi postami. Mówił rzadko i nie śmiał się nigdy. Kiedy mu się zdarzyło być mile wzruszonym, wymykał mu się słaby uśmiech, gubiący się w fałdach twarzy.

Birotteau był przeciwnie z gruntu szczery, wylany, lubiący smacznie zjeść; bawił się lada czym z naiwnością człowieka bez żółci i zdrady. Ksiądz Troubert budził w pierwszej chwili uczucie mimowolnej grozy, podczas gdy wikariusz skłaniał tych, co go widzieli, do łagodnego uśmiechu. Kiedy, przez arkady i nawy św. Gracjana, wysoki kanonik szedł uroczystym krokiem, z pochylonym czołem, z surowymi oczyma, budził szacunek: jego przygarbiona postać harmonizowała z pożółkłymi sklepieniami katedry, fałdy jego sutanny miały coś monumentalnego, godnego rzeźbiarza. Natomiast pocziwy wikariusz krążył tam bez żadnej powagi, dreptał, deptał, tocząc się jak kulka.

Ci dwaj ludzie mieli wszakże jedno podobieństwo. Tak samo jak ambitne wejrzenie Trouberta, każąc go się obawiać, skazało go może na nieznaczącą rolę zwykłego kanonika, tak samo charakter i postać księdza Birotteau skazywały go niejako na wiekuisty wikariat. Jednakże ksiądz Troubert, doszedłszy pięćdziesięciu lat, taktem swoim, pozorami zupełnego braku ambicji i na wskroś świętym życiem rozproszył całkowicie obawy, jakie jego domniemane zdolności oraz groźna fizjonomia obudziły w jego zwierzchnikach. Ponieważ zdrowie jego było od roku poważnie zachwiane, nominacja jego na generalnego wikariusza arcybiskupstwa zdawała się prawdopodobna. Nawet jego współzawodnicy życzyli mu tej nominacji, pragnąc lepiej przygotować własną przez tych niewiele dni, których użyczyłaby mu choroba, dziś już chroniczna. Zupełnie przeciwnie, potrójny podbródek księdza Birotteau jawił konkurentom walczącym z nim o miejsce kanonika znamiona kwitnącego zdrowia, jego zaś podagra zdawała się, w myśl przysłowia, rękojmią<sup>51</sup> długowieczności.

Ksiądz Chapeloud, człowiek nader roztropny, mile widziany dla swoich zalet towarzyskich przez arystokrację oraz miejscowych dygnitarzy, zawsze przeciwdziałał, tajemnie zresztą i bardzo sprytnie, wywyższeniu księdza Troubert; bardzo zręcznie nawet zamknął mu przystęp do wszystkich znakomitszych salonów w Tours, mimo że Troubert odnosił się doń zawsze z wielkim szacunkiem, okazując mu w każdej potrzebie wysoką cześć. Uniżoność ta nie mogła zmienić opinii zmarłego kanonika, który, podczas ostatniej przechadzki, powtarzał jeszcze księdzu Birotteau:

— Strzeż się tego dryblasa Trouberta! To Sykstus Piąty<sup>52</sup> pomniejszony do rozmiarów konsystorza<sup>53</sup>.

Takim był przyjaciel i towarzysz stołu panny Gamard, który, nazajutrz po dniu, w którym stara panna wypowiedziała niejako wojnę biednemu Birotteau, przyszedł go odwiedzić z wylewami przyjaźni.

<sup>49</sup>generalny wikariusz — duchowny wyznaczony przez biskupa diecezjalnego do pomocy w zarządzaniu całą diecezją jako jego pełnomocnik. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>rękojmia (daw.) — gwarancja. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Sykstus Piąty — papież w latach 1585–1590, zreformował kościół katolicki. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>konsystorz — od łac. *consistorium*, tj. zgromadzenie: sąd przy kurii biskupiej. [przypis edytorski]



— Trzeba darować Mariannie — rzekł kanonik, widząc wchodzącą służącą. — Zdaje się, że zaczęła od mego mieszkania. U mnie jest bardzo wilgotno, kaszlałem dziś całą noc. — Bardzo tu zdrowo ksiądz mieszka — rzekł, wodząc okiem po ścianach.

— Och! Mieszkam jak kanonik — rzekł Birotteau z uśmiechem.

— A ja jak wikariusz — rzekł pokorny ksiądz.

— Tak, ale niebawem będzie ksiądz mieszkał w konsystorzu — rzekł poczciwy Birotteau, który chciał, aby wszyscy byli szczęśliwi.

— Och! Albo na cmentarzu. Ale niech się dzieje wola boża!

I Troubert podniósł oczy do nieba z wyrazem rezygnacji.

— Przyszedłem — dodał — poprosić księdza o pożyczanie mi Wykazu beneficjów<sup>54</sup>. Jeden ksiądz w całym Tours masz to dzieło.

— Proszę, niech ksiądz weźmie z biblioteki — odparł Birotteau, któremu ostatnie słowa Trouberta uprzytomniły wszystkie rozkosze jego życia.

Wysoki kanonik przeszedł do biblioteki i pozostał tam przez czas, przez który wikariusz się ubierał. Niebawem rozległ się dzwon na śniadanie, podagryk zaś, pomyślwszy, iż gdyby nie odwiedziyny Trouberta nie miałby ognia przy wstawianiu, powiedział sobie:

— To poczciwy człowiek!

Obaj księża zeszli razem, uzbrojeni każdy olbrzymim *in folio*, które złożyli na konsolce<sup>55</sup> w jadalni.

— Cóż to takiego? — spytała cierpko panna Gamard, zwracając się do księdza Birotteau. — Mam nadzieję, że ksiądz mi nie będzie zagracał jadalni swymi szpargałami.

— To ja potrzebowałem tych książek — odparł Troubert — ksiądz wikariusz był tak uprzejmy, że mi ich pożyczył.

— Powinna była się domyślić — rzekła, uśmiechając się wzgardliwie. — Ksiądz Birotteau nie często zagląda do tych grubych tomów.

— Jak pani się miewa? — odparł pensjonariusz pieszczonym głosem.

— Niestety — odparła sucho. — Ksiądz jest przyczyną, że mnie zbudzono z pierwszego snu i całą noc mi to zepsuło.

Panna Gamard dodała siadając:

— Mleko stygnie, moi panowie.

Zdumiony tym cierpkim przyjęciem gospodyni, wówczas gdy spodziewał się przeprosin, ale przerażony, jak wszyscy ludzie nieśmiali, widokami dyskusji, zwłaszcza gdy mają być jej przedmiotem, biedny wikary usiadł w milczeniu. Następnie, widząc na twarzy panny Gamard oznaki wyraźnej niechęci, trwał w niepewności: rozum kazał mu nie znosić zuchwałstwa gospodyni, charakter zaś skłaniał go do unikania sporu. W tej wewnętrznej udręce, Birotteau jął<sup>56</sup> się uważnie przyglądać wielkim zielonym kratom na grubej ceracie, którą od niepamiętnych czasów panna Gamard zostawiała podczas śniadania na stole, bez względu na wytarte brzegi oraz liczne blizny tego nakrycia. Dwaj pensjonariusze znaleźli się każdy w swoim trzcinowym fotelu, naprzeciwko siebie, na dwóch krańcach tego prostokątnego stołu, którego centrum zajmowała gospodyni, i nad którym górowała z wysokości swego krzesła wymoszczonego poduszkami i zwróconego grzbietem do pieca. Ten pokój, oraz wspólny salon, znajdowały się na parterze pod sypialnią i salonem księdza Birotteau. Kiedy wikariusz brał z rąk panny Gamard filiżankę kawy z cukrem, zmroziło go głębokie milczenie, w jakim miał dopełnić tego tak wesołego zazwyczaj aktu kończącego śniadanie. Nie śmiał patrzeć ani na oschłą twarz Trouberta, ani na groźną twarz starej panny; aby coś z sobą począć, obrócił się w stronę wielkiego opasłego mopsa, który nie ruszał się nigdy z poduszki koło pieca, zawsze znajdując po lewej talerz pełen łakoci, po prawej zaś miseczkę czystej wody.

— I cóż, kochasiu, czekasz na swoją kawkę?

Osobnik ten, jeden z najważniejszych w domu, ale mało krępujący o tyle, iż nie szczekał już i zostawiał głos swojej pani, podniósł na księdza Birotteau małe oczki ukryte pod

<sup>54</sup>Wykaz beneficjów — wykaz nadań ziemskich za wykonanie określonych z góry obowiązków. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>konsola — ozdobny stolik umieszczany zwykle pod lustrem jako podstawa pod inne przedmioty. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

faldami tłuszczu, po czym zamknął je ponuro. Aby zrozumieć męczarnię biednego wikariusza, trzeba powiedzieć, iż, obdarzony wymową pustą i dźwięczną jak dźwięk balonu, twierdził on, nie mogąc zresztą przytoczyć żadnego argumentu na poparcie swego mniemania, iż mowa pomaga trawieniu. Panna Gamard, która podzielała tę higieniczną teorię, stale dotąd, mimo ich nieporozumień, rozmawiała z wikariuszem przy stole, ale od kilku dni próżno wytężał swą inteligencję, daremnie wysiłał się na chytne pytania, aby ją pociągnąć za język. Gdyby szczupłe ramy tej powiastki pozwoliły przytoczyć bodaj jedną z tych rozmów, które ściągały prawie zawsze cierpki i sardoniczny uśmiech na usta księdza Troubert, dałaby ona skończony obraz prowincjonalnego *beocjanizmu*<sup>57</sup>. Ubawiłyby może czytelników osobliwe poglądy, jakie ksiądz Birotteau i panna Gamard wygłaszali w zakresie polityki, religii i literatury. Byłoby niewątpliwie ucieśzną rzeczą przedstawić czy to powagę, z jaką, w roku 1826, podawali w wątpliwość śmierć Napoleona; czy to przypuszczenia, które kazały im wierzyć w istnienie Ludwika XVII<sup>58</sup>, ocalonego dzięki kryjówce w dziupli grubego drzewa. Któż by się nie uśmieł, słysząc jak, na mocy sobie tylko wiadomych racji, orzekają, że król francuski sam jeden rozstrzyga o podatkach, że parlament powołany jest po to, aby zniszczyć kler, że w czasie Rewolucji zginęło przeszło milion trzysta osób na rusztowaniu? Następnie mówili o prasie, nie znając liczby dzienników, nie mając najmniejszego pojęcia, czym jest to nowoczesne narzędzie. Wreszcie ksiądz Birotteau słuchał z uwagą panny Gamard, kiedy mówiła, że człowiek spożywający jedno jajko co rano musi niechybnie umrzeć z końcem roku, i że takie fakty widywano; że mała pulchna bułeczka spożywana bez napoju przez kilka dni z rzędu leczy ze scjatyki<sup>59</sup>; że wszyscy robotnicy, którzy pracowali przy zburzeniu opactwa Saint-Martin, pomarli w ciągu pół roku; że, za Bonapartego, pewien prefekt dokładał wszelkich starań, aby zburzyć wieże św. Gracjana, i tysiąc podobnych baśni.

Ale w tej chwili Birotteau czuł, że mu język zmartwiał, zdecydował się tedy z żalem jeść w milczeniu. Po chwili uznał, że to milczenie niebezpieczne jest dla jego żołądka i rzekł zuchwale:

— Wyborna kawa dzisiaj!

Ten akt odwagi był zupełnie bezcelowy. Spojrzawszy w niebo przez małą przestrzeń, która dzieliła nad ogrodem dwa czarne żebra św. Gracjana, wikary odważył się jeszcze:

— Dziś będzie ładniejszy dzień niż wczoraj...

Na te słowa panna Gamard spojrzała tkliwie na księdza Troubert, po czym zwróciła bezlitośnie surowy wzrok na księdza Birotteau, który, szczęściem, spuścił oczy.

Trudno o żeńską istotę, która by doskonalej od panny Gamard wyrażała smętną dole starą panny. Ale, aby dobrze odmalować osobę, dzięki której drobne wydarzenia tego dramatu oraz uprzednie życie osób będących jego aktorami nabierają olbrzymiej wagi, trzeba może streścić tu pojęcie, które zawiera w sobie *stara panna*: codzienne życie urabia duszę, a dusza tworzy fizjonomię.

Jeżeli wszystko w społeczeństwie, tak jak w świecie, musi mieć cel, istnieją niewątpliwie egzystencje, których celu i pożytku niepodobna sobie wytłumaczyć. Zarówno moralność, jak i ekonomia polityczna odrzucają jednostkę, która konsumuje nie produkując, która zajmuje miejsce na ziemi, nie tworząc dokoła siebie ani złego, ani dobrego; zło bowiem jest niewątpliwie dobrem, które nie ujawnia się bezpośrednio. Rzadkim jest, aby, siłą rzeczy, stare panny nie mieściły się w rzędzie tych nieproduktywnych istot. Otóż, o ile świadomość pracy daje czynnej jednostce zadowolenie, które pomaga znosić życie, o tyle pewność, że się jest ciężarem lub nawet nieużytkiem, musi wydawać przeciwny skutek; musi w beczynnej istocie budzić tę samą wzdrgę dla samej siebie, którą budzi w innych. Ten bezwzględny osąd społeczny jest jedną z przyczyn, które, bez ich wiedzy, sączą w dusze starych panien ową markotność odbijającą się na ich twarzy. Przesąd, w którym jest może coś prawdy, rzuca zawsze i wszędzie — we Francji więcej niż gdziekolwiek — bardzo ujemne światło na kobietę, z którą nikt nie chciał podzielić doli lub znosić niedoli życia. Nadchodzi dla panien wiek, w którym świat, słusznie czy nie, potępia

Kobieta, Starość

<sup>57</sup>*beocjanizm* — głupota (w starożytności mieszkańcy Beocji słynęli z głupoty). [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Ludwik XVII* (1785–1795) — syn Ludwika XVI i Marii Antoniny, od 1789 r. delfin Francji, zmarł w więzieniu w Temple; domniemanie o jego śmierci dało powód licznym awanturnikom do pretensji do tronu. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*scjatyka* (daw.) — ischias, rwa kulszowa. [przypis edytorski]

je ze wzgardą, której są ofiarą. Jeżeli jest brzydka, zalety, charakter powinny być okupić skazy natury; jeżeli ładna, nieszczęście jej musi mieć jakieś poważne przyczyny. Nie wiadomo, która z nich bardziej zasługuje na wzgardę. Jeżeli jej panieństwo jest wyrozumowane, jeżeli jest chęcią niezależności, żaden mężczyzna ani żadna matka nie przebaczą jej tego, iż sprzeniewierzyła się powołaniu kobiety, zamykając serce dla uczuć, które płci ich daje tyle wdzięku. Wyrzec się tych cierpień, znaczy abdykować z ich poezji i stać się niegodną wszelkich pociech, do których matka ma zawsze niezaprzeczone prawa. Przy tym szlachetne uczucia, wdzięki, przymioty kobiece rozwijają się jedynie przez nieustanne ćwiczenie; zostając panną, istota płci żeńskiej staje się wręcz nonsensem: samolubna i zimna, budzi we wszystkich wstręt. Ten nieubłagany wyrok jest niestety zbyt sprawiedliwy, i stare panny znają jego pobudki. Świadomość ta wzrasta w ich sercu, w miarę jak skutki ich smutnego życia odciskają się na ich rysach. Więdną tedy, ponieważ nieustanne wzruszenia szczęścia, które rozpromienia twarz kobiety i daje tyle miękkości jej ruchom, nigdy u niej nie istniały. Stają się cierpkie i zgryźliwe, ponieważ istota, która chybiła swego powołania, jest nieszczęśliwa; cierpi, a cierpienie rodzi złość. W istocie, zanim sama do siebie zacznie mieć żal o swe osamotnienie, stara panna długo obwinia świat. Od oskarżenia do żądzy zemsty jest tylko krok. Wreszcie, brak wdzięku we wszystkim, co czynią, jest również koniecznym następstwem ich życia. Ponieważ nigdy nie czuły potrzeby podobania się, wykwent, smak są dla nich czymś obcym. Widzą tylko siebie. To uczucie każe im bezwiednie wybierać to, co im jest wygodne, z uszczerbkiem tego, co mogłoby być miłe drugim. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co je różni od innych kobiet, spostrzegają to wreszcie i cierpią. Zazdrość jest niezniszczalnym uczuciem w sercu kobiety. Stare panny są tedy zazdrosne w próżni. Znają tylko niedolę tej jedynej namiętności, jaką mężczyźni przebacząją płci pięknej, ponieważ im pochlebia. Tak więc, udręczone we wszystkich pragnieniach, zmuszone dławić głos natury, stare panny doznają zawsze jakiegoś wewnętrznego przymusu, z którym nie oswajają się nigdy. Czyż nie jest przykro w każdym wieku, zwłaszcza dla kobiety, czytać na twarzach odrazę, kiedy losem jej jest budzić w sercach jedynie miłe uczucia? Toteż spojrzenie starej panny jest zawsze kose, nie tyle przez skromność, ile przez lęk i wstyd. Nie przebacząją światu swej fałszywej roli, ponieważ nie przebaczą jej samym sobie. Otóż niepodobieństwem jest dla istoty ludzkiej, będącej w ciągłej wojnie z sobą, lub w sprzeczności z życiem, zostawić innych w spokoju i nie zazdrościć ich szczęściu.

Ten bezmiar smutnych myśli widniał w szarych i wyblakłych oczach panny Gamard, szeroka zaś czarna obwódka, która je okalała, świadczyła o długich walkach jej samotnego życia. Wszystkie zmarszczki na jej twarzy biegły prosto. Linie czoła, głowy i policzków miały coś twardego, oschłego. Pozwalała obojętnie rosnąć siwym kosmykom z kilku brodawek, jakie miała na twarzy. Wąskie usta zaledwie pokrywały zbyt długie zęby, zresztą dość białe. Włosy jej, niegdyś czarne, zbieleły w okropnych migrenach. Wypadek ten zmuszał ją do noszenia koku; ponieważ jednak nie umiała go wkładać tak, aby ukryć jego ślady, istniała często przestrzeń między krajem<sup>60</sup> czepka a czarnym sznurkiem, który przytrzymał tę lichą ufrizowaną perukę. Suknia jej, taftowa w lecie, merynosowa w zimie, ale zawsze brunatna, ścisłała trochę nadto jej niezręczną kibić<sup>61</sup> i chude ramiona. Spod krochmalonego kołnierzyka wyglądała szyja, której czerwona skóra była artystycznie prążkowana niby dębowy liść oglądany pod światło. Pochodzenie panny Gamard dostatecznie zresztą tłumaczyło niedostatki jej wdzięku. Była córką handlarza drzewem, wzbogaconego chłopca. Mając lat osiemnaście mogła być świeża i pulchna; ale nie zostało ani śladu z białej cery ani też z pięknych kolorów, które lubiła wspominać. Cera jej była wyblakła jak często u dewotek.

Ze wszystkich rysów orli nos najdosadniej wyrażał despotyzm charakteru, tak jak płaskie czoło zdradzało ciasnotę umysłu. W ruchach miała coś niespokojnego, co wykluczało wszelki wdzięk. Sam widok starej panny, gdy wyjmowała z woreczka chustkę, aby obetrzeć hałaśliwie nos, pozwoliłby wam odgadnąć charakter jej i obyczaje. Dość wysokiego wzrostu, trzymała się bardzo prosto i usprawiedliwiała spostrzeżenie przyrodnika, który wytłumaczył fizycznie chód starych panien, twierdząc, że ich stawy się zrastają.

<sup>60</sup>kraj — tu: skraj, brzeg. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>kibić (daw.) — talia. [przypis edytorski]

Kiedy szła, ruch nie rozkładał się harmonijnie na całą osobę, nie tworzył owego wdzięcznego falowania, tak powabnego u kobiet; szła, aby tak rzec, z *jednej sztuki*, wyrastając za każdym krokiem niby posąg Komandora. W chwilach dobrego humoru dawała do zrozumienia, jak wszystkie stare panny, że mogła być wyjść za mąż, ale szczęściem przejrzała na czas złą wiarę zalotnika. W ten sposób bezwiednie dyskredytowała swoje serce, podkreślając swój zmysł rachuby.

Ten typowy okaz gatunku *stara panna* miał bardzo stosowną ramę w pociesznych wzorach tapety w sali jadalnej, przedstawiających jakieś tureckie krajobrazy. Panna Gamard przebywała zazwyczaj w tym pokoju, zdobnym w dwie konsole i barometr. Na fotelu każdego z księży znajdowała się haftowana poduszczyca o spleźnych<sup>62</sup> kolorach. Salon, gdzie panna Gamard przyjmowała, był godny jej. Łatwo go objaśnimy mówiąc, że nazywał się *żółtym salonem*: portiery<sup>63</sup> były żółte, meble i obicia żółte; na kominku stojonym w lustro o złożonych ramach stały kryształowe świeczniki i takiż zegar. Co się tyczy osobistego apartamentu panny Gamard, nikomu nie było dane tam zaglądać. Można było tylko przypuszczać, że pełen był owych gałganków, zużytych mebli, łachów, jakimi się otaczają wszystkie stare panny. Taką była osoba, która miała wyrzucić przemożny<sup>64</sup> wpływ na losy księdza Birotteau.

Nie mogąc zużyć, w myśl głosu natury, energii właściwej kobiecie, a zmuszona jakoś zatrudnić tę energię, stara panna przelała ją w małostkowe intrygi, prowincjonalne plotki oraz w owe samolubne kombinacje, jakie z czasem tworzą wyłączną treść życia wszystkich starych panien. Na swoje nieszczęście, Birotteau rozwinął w Zofii Gamard jedyne uczucia, do jakich biedna istota była zdolna: uczucia nienawiści, które, utajone, w spokoju i monotonii ciasnego prowincjonalnego życia, nabrały tym większej siły przez to, iż rozgrywały się na małych rzeczach i w ciasnej sferze. Birotteau był z rzędu tych ludzi, na których wszystko się wali, ponieważ, nie umiejąc nic widzieć, nie mogą niczego uniknąć: wszystko na nich spada.

— Tak, będzie ładnie — odparł po chwili kanonik, który widocznie zbudził się z zadumy i chciał okazać się grzeczny.

Birotteau, przerażony czasem, jaki upłynął między pytaniem a odpowiedzią — pierwszy raz bowiem w życiu wypił kawę w milczeniu — opuścił jadalnię ze ściśniętym sercem. Filiżanka kawy ciążyła mu w żołądku. Przechadzał się smutnie po wąskich bukszpanowych alejach, które tworzyły gwiazdę w ogródku. Kiedy się obrócił, obszedłszy raz w koło, ujrzał w progu salonu pannę Gamard i księdza Troubert. Stali w milczeniu: on ze skrzyżowanymi rękoma, nieruchomy jak posąg na grobie, ona oparta o oszklone drzwi. Patrzyli w niego, jak gdyby licząc jego kroki. Dla człowieka nieśmiałego nie ma uciążliwszej rzeczy niż być przedmiotem ciekawych spojrzeń; ale, jeżeli spojrzenia te sączą nienawiść, ból jaki sprawiają zmienia się w męczarnię. Niebawem ksiądz Birotteau wyroił sobie, że przeszkadza pannie Gamard i kanonikowi. Myśl ta, zrodzona z lęku i poczciwości, wzmogła się tak, że wołał opuścić ogród. Odszedł nie myśląc już o swej kanonii, tak dalece pochłonęła go rozpaczliwa tyrania starej panny. Przypadkowo, szczęściem dla siebie, znalazł w kościele wiele roboty: było kilka pogrzebów, jeden ślub i dwa chrzty. To mu pozwoliło zapomnieć o swych strapieniach. Kiedy żołądek oznajmił mu godzinę obiadu, wydobyl nie bez przerażenia zegarek i stwierdził, że jest kilka minut po czwartej. Znał punktualność panny Gamard, pośpieszył tedy czym prędzej do domu.

Ujrzał w kuchni pierwsze danie już sprzątnięte. Kiedy wszedł do jadalni, stara panna rzekła głosem, w którym przebijała równocześnie cierpka wymówka i radość, iż złapała pensjonariusza na przestępstwie.

— Jest wpół do piątej, proszę księdza. Ksiądz wie, że tu nie czeka się na nikogo.

Wikariusz spojrział na zegar, a położenie gazy mającej go chronić od kurzu dowiodło mu, że gospodyni nakręciła zegar, z umysłu<sup>65</sup> posuwając go o kilka minut przed zegarem katedralnym. Nie było sposobu nic odpowiedzieć. Dać wyraz swoim podejrzeniom znaczyło spowodować najstraszliwszy i najbardziej usprawiedliwiony wybuch elokwencji,

Nienawiść

Nienawiść, Rozpacz

Nienawiść, Władza

<sup>62</sup>*splezły* — odbarwiony pod wpływem światła słonecznego. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*portiera* — zasłona u drzwi. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*przemożny* — decydujący. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*z umysłu* — dziś popr.: umyślnie. [przypis edytorski]

której panna Gamard umiała, jak wszystkie kobiety jej klasy, dać folgę<sup>66</sup> w podobnym wypadku. Panna Gamard odgadła tysiączne dokuczliwości, jakimi służąca może zatruć życie panu, albo żona mężowi i zwała je na swego pensjonariusza. Sposób, w jaki z lubością obmyślała te spiski przeciw domowemu szczęściu biednego księdza, nosił piętno głębokiego ducha złości. Umiała się tak urządzać, aby nigdy wina nie była po jej stronie.

W tydzień po momencie, od którego zaczyna się opowiadanie, ksiądz Birotteau nie mógł nie spostrzec, iż ma do czynienia ze spiskiem uknutym od pół roku. Póki stara panna wykonywała potajemnie swą zemstę i póki wikariusz mógł dobrowolnie utrzymywać się w błędzie, nie chcąc wierzyć w złośliwe intencje, choroba moralna niewielkie w nim uczyniła postępy. Ale od czasu przygody z lichtarzem, od czasu posunięcia zegara, Birotteau nie mógł już wątpić, że żyje pod wzrokiem nienawiści, której oko wciąż jest nań otwarte. Wówczas oswładnęła nim rozpacz; o każdej porze widział cienkie i haczykowate palce panny Gamard, gotowe zatopić się w jego sercu! Szczęśliwa, iż może żyć uczuciem tak bogatym we wzruszenia jak zemsta, stara panna lubiła krążyć, ciężać nad wikariuszem, jak drapieżny ptak krąży nad myszą leśną, nim ją pożre. Od dawna powzięła plan, którego oszołomiony ksiądz niezdolny był odgadnąć i plan ten wprowadzała w życie z genialnością, jaką umieją rozwijać w drobnych rzeczach osoby samotne, których dusza, niezdolna do wzlotów prawdziwej pobożności, rzuciła się w małostkową dewocję. Wreszcie ostatnia, ale okropna właściwość tej męczarni: utrapienia księdza Birotteau były tej natury, iż człowiek ten, skłonny do zwierzeń, lubiący, gdy go żalowano i pocieszano, nie miał tej drobnej pociechy, aby je móc opowiedzieć swoim przyjaciółom! Odrobina taktu, jaką zawdzięczał swojej nieśmiałości, dawała mu uczuć śmieszność, jaką okryłby się przyznając, iż zaprzęta się takimi słabostkami. A mimo to błahostki te były całą jego egzystencją, jego drogą egzystencją, pełną zajęcia w próżni i próżni w zajęciu. To było całe jego bezbarwne i szare życie, w którym zbyt mocne uczucia były nieszczęściem, a szczęściem brak wszelkich wzruszeń. Raj biednego księdza zmienił się tedy nagle w piekło. W końcu męczarnie jego stały się nie do zniesienia. Groza, o jaką go przyprawiała perspektywa wyjaśnień z panną Gamard, rosła z każdym dniem. To tajemne cierpienie, które trulo dni jego starości, oddziaływało na jego zdrowie. Pewnego ranka, kładąc niebieskie prążkowane pończochy, stwierdził ubytek ośmiu linii<sup>67</sup> w obwodzie łydki. Zdumiony tym tak dotkliwym objawem, postanowił zwrócić się do księdza Troubert z prośbą, aby zechciał być pośrednikiem między nim a starą panną.

Groźny kanonik przyjął go w pokoju zupełnie nagim, opuściwszy szybko gabinet pełen papierów, gdzie pracował bez ustanku i dokąd nikt nie miał wstępu. Wikariusz, znalazłszy się w jego obliczu, uczuł niemal wstyd, że ma zaprzętać dokuczliwościami panny Gamard człowieka, który zdawał się tak poważnie zajęty. Ale, przeszedłszy wszystkie owe tajemne męki i pasowania z sobą, które u ludzi pokornych, niezdecydowanych lub słabych towarzyszą nawet błahostkom, zdecydował się z wezbranym sercem przedstawić księdzu Troubert swoje położenie. Kanonik słuchał poważnie i chłodno, starając się na próżno powściągnąć uśmiech, który inteligentnym oczom zdradziłby odruch zadowolenia. Płomień strzelił na chwilę spod jego powiek, kiedy Birotteau odmalował mu z wymową prawdziwego uczucia gorczyce, jakimi go pojono; ale Troubert zasłonił ręką oczy gestem dość pospolitym u ludzi żyjących myślą i zachował zwykłą godność. Kiedy wikariusz przestał mówić, daremnie szukał na twarzy Trouberta, w tej chwili upstrzonej plamami żółtymi jeszcze niż zwykle, śladu uczuć, które musiał zbudzić w tajemniczym księdzu. Przetrawszy chwilę w milczeniu, kanonik odpowiedział. Każde jego słowo musiało być z dawna odmierzone i odważone; odpowiedź ta byłaby dla inteligentnego człowieka dowodem zdumiewającej głębi jego duszy i potęgi umysłu. Pognębił wikariusza, powiadając, że to wszystko dziwi go tym więcej, iż sam bez zwierzeń księdza Birotteau nie byłby spostrzegł nic; nieuwagę tę przypisuje swoim poważnym zajęciom, swojej pracy oraz pochłonięciu myślami, które nie pozwalają mu zwracać uwagi na drobiazgi. Wtrącił mimochodem, ale tak, aby się nie zdawało, że chce sądzić postęпки człowieka, którego wiek i nauka zasługują na jego szacunek, że „niegdyś samotnicy niewiele myśleli o swoim pożywieniu, mieszkaniu, w pustelniach, gdzie oddawali się świętym kontemplacjom”,

Zemsta

Smutek, Strach

Praca, Tajemnica

<sup>66</sup> *dać folgę* — pozwolić (sobie) na coś. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *linia* — drobna miara długości (1/12 cala). [przypis edytorski]

i że „dzisiaj kapłan wszędzie może myślą swoją stworzyć sobie pustelnię”. Następnie, wracając do sprawy wikariusza, dodał, że „te nieporozumienia są dla niego czymś zupełnie nowym. Przez dwanaście lat nic podobnego nie zaszło pomiędzy panną Gamard a czcigodnym księdzem Chapeloud. Może — dodał — oczywiście podjąć się roli rozjemcy między wikariuszem a gospodynią, ile że przyjaźń jego dla niej nie przekracza granic zakreślonych przez Kościół wiernym swoim sługom; ale wówczas sprawiedliwość wymaga, aby wysłuchał i panny Gamard. Poza tym — mówił — nie zauważył w niej żadnej zmiany; zawsze była taka; on sam chętnie poddaje się pewnym jej dziwactwom, wiedząc, że ta czcigodna panienka jest wzorem wcielonej dobroci i słodczy; te lekkie zmiany humoru trzeba przypisać chorobie piersiowej, o której nie mówi i którą znosi z rezygnacją chrześcijanki... W końcu oświadczył wikariuszowi, że „o ile jeszcze kilka lat spędzi z panną Gamard, lepiej będzie umiał poznać i ocenić skarby tego przezacnego charakteru”.

Ksiądz Birotteau wyszedł zawstydzony. Znalazłszy się w okrutnej konieczności kierowania się własnym rozumem, osądził pannę Gamard wedle siebie. Pocziwiec mniemał, iż jeżeli się usunie na kilka dni, wówczas, dla<sup>68</sup> braku pokarmu, nienawiść starej panny wygaśnie. Postanowił tedy udać się, jak bywało nieraz, na wieś, gdzie pani de Listomere przenosiła się z końcem jesieni, w porze gdy niebo w Turenii<sup>69</sup> bywa zazwyczaj czyste i pogodne. Biedny człowiek spełniał właśnie tajemne życzenia swej strasznej nieprzyjaciółki, której zamiary mogłaby udaremnić jedynie mnisza cierpliwość; ale ksiądz Birotteau, nie domyślający się niczego, nie znający własnych spraw, musiał paść jak jagniątko pod pierwszym ciosem rzeźnika.

Posiadłość pani de Listomere na równinie między Tours a wyżem św. Jerzego, wystawiona na południe, otoczona skałami, łączyła wszystkie uroki wsi i wygody miasta. Wystarczyło dziesięć minut, aby się dostać od mostu w Tours do bramy tego domu nazwanego *Skowronkiem*: wielka zaleta w stronach, gdzie nikt nie chce się trudzić dla niczego, nawet dla własnej przyjemności. Ksiądz Birotteau bawił w *Skowronku* blisko od dziesięciu dni, kiedy, pewnego ranka, w porze śniadania, odźwierny oznajmił mu, że p. Caron chce z nim mówić. P. Caron był to prawnik prowadzący interesy panny Gamard. Birotteau, nie pamiętając ani nie wiedząc aby miał jakąkolwiek sprawę sporną z kimkolwiek, wstał od stołu i z pewnym lękiem wyszedł do adwokata: zastał go na tarasie siedzącego skromnie na balustradzie.

— Skoro zamiar księdza dobrodzieja, aby opuścić mieszkanie u panny Gamard, stał się oczywisty... — zaczął prawnik.

— Ależ proszę pana — wykrzyknął Birotteau — ja nigdy nie miałem zamiaru opuszczać...

— Jednakże, proszę księdza, musiał ksiądz chyba porozumiewać się w tym duchu z moją klientką, skoro ona mnie przysłała, abym się dowiedział, czy ksiądz długo zostanie na wsi. Dłuższa nieobecność, jako nieprzewidziana w umowie, może dać powód do wdrożenia kroków! Otóż, panna Gamard, uważając, iż warunkiem najmu...

— Panie — rzekł zdumiony Birotteau jeszcze raz przerywając adwokatowi — nie sądziłem, aby trzeba było uciekać się do sądów po to, by...

— Panna Gamard, która chce uprzedzić wszelkie komplikacje — rzekł p. Caron — przysłała mnie, abym się porozumiał z panem.

— A więc, jeżeli pan będzie tak uprzejmy zejść jutro — odparł znów ksiądz Birotteau — poradzę się i ja kogoś z mojej strony.

— Niech i tak będzie — rzekł Caron z ukłonem.

I kauzyperda<sup>70</sup> odszedł. Biedny wikariusz, przerażony uporem, z jakim panna Gamard go ściga, wszedł do jadalni ze zmienioną twarzą. Na jego widok zasypano go pytaniami:

— Cóż się takiego stało, księżo Birotteau?

Zrozpaczony ksiądz usiadł bez odpowiedzi, tak mocno ogarnęło go przecucie nie-szczęścia. Ale po śniadaniu, kiedy kilkoro jego przyjaciół skupiło się w salonie przy dobrym ogniu, Birotteau opowiedział naiwnie szczegóły swej przygody. Słuchacze, którzy

<sup>68</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Turenia — kraina historyczno-geograficzna we Francji, której stolicą jest miasto Tours. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>kauzyperda (pot.) — prawnik (zwykle: nieudolny, od łac. *causam perdere*, tj. przegrać sprawę). [przypis edytorski]

zaczynali się już nudzić na wsi, zainteresowali się żywo tą intrygą, tak bardzo w duchu życia prowincji. Wszyscy wzięli stronę księdza przeciw starej pannie.

— Jak to? — rzekła pani de Listomere — czy ksiądz nie widzi jasno, że kanonik Troubert chce twego mieszkania?

Tutaj historyk miałby prawo nakreślić portret tej damy; ale osądził, iż nawet ci, którym system *kognomologii*<sup>71</sup> Sterna jest obcy, nie mogliby wymówić tych trzech słów: *Pani de Listomere!* nie wyobrażając sobie osoby szlachetnej, godnej, miarkującej surową nabożność staroświeckim klasyczno-monarchicznym wykwinem i dwornością manier; dobrej, ale nieco sztywnej; lekko mówiącej przez nos; pozwalającej sobie na lekturę *Nowej Heloizy*<sup>72</sup>, na teatr, i noszącej jeszcze sztuczne włosy.

— Nie powinien ksiądz Birotteau ustępować tej starej jędzy! — wykrzyknął pan de Listomere, porucznik okrętu, przybyły na urlop do ciotki. — Jeżeli ksiądz będzie miał odwagę i pójdzie za moimi radami, niebawem będziemy mieli spokój.

Kolejno każdy zaczął roztrząsać postęпки panny Gamard z przenikliwością właściwą mieszkańcom prowincji, którym nie można odmówić talentu obnażania najbardziej tajemnych ludzkich pobudek.

— To nie to — rzekł stary obywatel, który znał dobrze te strony — W tym tkwi coś poważniejszego, coś czego jeszcze nie zgaduję. Troubert jest za mądry, aby go można było tak szybko przejrzeć. Nasz kochany ksiądz Birotteau jest dopiero w początku swoich utrapień. Czy odzyskałby szczęście i spokój nawet ustępując Troubertowi swego mieszkania? Wątpię. — Jeżeli Caron przyszedł księdzu oznajmić, dodał zwracając się do osłupiałego wikariusza, że ksiądz ma zamiar rozstać się z panną Gamard, to z pewnością panna Gamard ma zamiar wyparować<sup>73</sup> księdza z domu... Nie ma co, opuścisz dom, po woli czy po niewoli. Tacy ludzie nigdy nie robią nic na wiatr i grają tylko na pewne.

Ten stary szlachcic, nazwiskiem p. de Bourbonne, wyrażał wszystkie pojęcia prowincji równie wiernie, jak Wolter<sup>74</sup> wyrażał ducha swojej epoki. Chudy ten starzec był zaniedbany w ubraniu, jak człowiek, którego wartość terytorialna znana jest w departamencie. Fizjonomia jego, wygarbowana słońcem, była nie tyle inteligentna, ile chytra. Nawykły ważyć słowa, obmyślać każdy krok, ukrywał głębokie wyrachowanie pod zwodniczą prostotą. Toteż od pierwszego rzutu oka można było zgadnąć, że, podobnie jak chłop normandzki, człowiek ten musiał mieć zawsze górę w każdej sprawie. Był bardzo biegły w *oinologii*<sup>75</sup>, ulubionej wiedzy Turyńczyków. Umiał zaokrąglić swoje łąki kosztem namulów Loary, tak aby się nie narazić na procesy z rządem. Sztuczka ta utrwałała wysokie mniemanie o jego talentach. Gdyby ktoś, oczarowany rozmową pana de Bourbonne, spytał kogoś w okolicy o jego życiorys, przysłowiowa odpowiedź wszystkich, co mu zazdrościli — a było takich dużo — brzmiała: „*O, to stary wyga!* W Turenii, jak przeważnie na prowincji, zazdrość jest rdzeniem języka.

Uwaga pana de Bourbonne spowodowała chwilowe milczenie. Osoby składające to małe grono zdawały się namyślać. Wśród tego oznajmiono pannę Salomon de Villenoix. Pragnąc przyjść z pomocą księdzu Birotteau, przybyła z Tours, a nowiny, jakie przywiozła zmieniły zupełnie postać rzeczy. W chwili jej przybycia wszyscy, z wyjątkiem szczonego ziemianina, radzili księdzu podjąć wojnę przeciw spółce Troubert-Gamard, pod auspicjami arystokratycznego towarzystwa, które miało go wspierać w tej kampanii.

— Generalny wikariusz, który prowadzi dział personalny — rzekła panna Salomon — zachorował; arcybiskup powierzył jego miejsce księdzu Troubert.

Nominacja na kanonika zależy tedy w zupełności od niego. Otóż, wczoraj, u panny de la Blottiere, ksiądz Poirel mówił o przykrościach, jakie ksiądz Birotteau sprawia pannie Gamard, jak gdyby chcąc usprawiedliwić niełaskę, która spadnie na naszego kochanego wikariusza: „Ksiądz Birotteau wiele stracił, tracąc nieboszczyka księdza Chapeloud,

<sup>71</sup>*kognomologia* — „nauka o imionach własnych”, jaką głosił w swych utworach Laurence Sterne. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Nowa Heloiza* — powieść sentymentalna Jeana Jacques’a Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*wyparować* (daw.) — usunąć (dost.: wyprząc z zaprzęgu). [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Wolter* — właśc. François-Marie Arouet, fr. pisarz epoki oświecenia, działacz i filozof. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*oinologia* — stworzony przez Balzaka dla żartu wyraz (od gr. *oinos*: wino): wiedza o winie. [przypis edytorski]

powiadał; od śmierci tego zacnego kanonika okazało się, że... Tu nastąpiły domysły, potwarze itd. Rozumiecie?

— Troubert będzie generalnym wikariuszem — rzekł uroczyście pan de Bourbonne.

— No, księżę! — rzekła pani de Listomere, spoglądając na wikarego — co ksiądz woli; być kanonikiem czy zostać u panny Gamard?

— Być kanonikiem! — krzyknął powszechnie chór.

— A więc — odparła pani de Listomere — trzeba ustąpić księdzu Troubert i pannie Gamard. Czyż ta wizyta Carona nie daje pośrednio do zrozumienia, że jeżeli zgodzisz się ustąpić, zostaniesz kanonikiem? Z rączki do rączki!

Wszyscy jęli<sup>76</sup> sławić przenikliwość i rozum pani de Listomere, z wyjątkiem barona de Listomere, jej bratanka, który rzekł jowialnie do pana de Bourbonne:

— Cieszyłem się na starcie okrętów *Gamard* i *Birotteau*.

Ale, nieszczęściem dla wikariusza, siły w tej wojnie między „światem” a starą panną wspieraną przez księdza Troubert nie były równe. Rychło nadeszła chwila, w której walka miała się zarysować wyraźniej, urosnąć i przybrać olbrzymie proporcje. Z porady pani de Listomere i jej stronników, którzy rozpalili się do tej intrygi ożywiającej prowincjonalną pustkę, posłano po pana Caron. Prawnik wrócił z godną uwagi szybkością, która przeraziła jedynie pana de Bourbonne.

— Odłóżmy wszelką decyzję aż do ściślejszych informacji — orzekł ten Fabiusz<sup>77</sup> w szlafroku, który mocą głębokiej refleksji przenikał wysokie kombinacje tureńskiej szachownicy.

Chciał oświecić księdza Birotteau co do niebezpieczeństw jego pozycji. Ale mądrość *starego wygi* nie szła na rękę namiętnościom chwili, toteż nie bardzo zwracano nań uwagę. Narada adwokata z księdzem Birotteau trwała krótko. Wikariusz wrócił bardzo pomieszany mówiąc:

— Żąda stwierdzenia na piśmie mojej *cesji*<sup>78</sup>.

— Cóż to za okropne słowo? — spytał porucznik okrętu.

— Cóż to ma znaczyć? — wykrzyknęła pani de Listomere.

— To znaczy po prostu, iż ksiądz ma oświadczyć, że chce opuścić dom panny Gamard — odpowiedział pan de Bourbonne, zażywając tabakę.

— Tylko tyle? Niech ksiądz podpisze! — rzekła pani de Listomere. — Jeżeli ksiądz masz poważny zamiar opuścić jej dom, nie ma żadnej przeszkody do stwierdzenia pańskiej woli.

*Wola księdza Birotteau!*

— Słusznie — rzekł p. de Bourbonne, zamykając tabakierkę suchym gestem, którego znaczenia niepodobna oddać, bo to był cały język. — Ale zawsze to niebezpieczna rzecz pisać — dodał, kładąc tabakierkę na kominku z miną zdolną przerazić wikariusza.

Birotteau był tak oszołomiony tym przewrotem we wszystkich jego pojęciach, szybkością wypadków, które go zaskakiwały bez obrony, lekkością, z jaką przyjaciele traktowali najdroższe sprawy jego samotnego życia, że stał bez ruchu, jak lunatyk, nie myśląc nic, słuchając tylko i starając się zrozumieć sens padających słów. Wziął pismo pana Caron i przeczytał je z pozorami uwagi; ale był to ruch zupełnie machinalny. I podpisał ten papier, którym uznawał, iż zrzeka się dobrowolnie mieszkania u panny Gamard, jak również jądania u niej w myśl zawartego układu. Kiedy wikariusz podpisał, imć Caron wziął akt i zapytał, gdzie jego klientka ma odstawić rzeczy należące do księdza. Birotteau wskazał dom pani de Listomere. Skinieniem głowy dama ta zgodziła się przyjąć księdza na kilka dni, nie wątpiąc, że niebawem zostanie kanonikiem. Stary obywatel poprosił o pokazanie tej *cesji*; p. Caron podał mu akt.

— Jak to — spytał wikariusza przeczytawszy — istnieje tedy między księdzem a panną Gamard jakaś umowa pisana? Gdzież ona jest? Jakie są jej warunki?

— Akt jest u mnie — odparł Birotteau.

— Czy zna pan jego zawartość? — spytał obywatel adwokata.

— Nie, panie — rzekł p. Caron, wyciągając rękę, aby odebrać nieszczęsny papier.

<sup>76</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Fabiusz — Quintus Fabius Maximus Verrucosus Cunctator (ok. 280 p.n.e.–203 p.n.e.) rzymski polityk i wódz z czasów II wojny punickiej, stosował przeciw Hannibalowi taktykę wyczekującą. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>cesja — przelanie praw na inną osobę. [przypis edytorski]



— Ba! — powiedział sobie w duchu stary obywatel — ty, mości adwokacie, wiesz z pewnością, co ten akt zawiera; ale nie głupi jesteś nam to powiedzieć.

I pan de Bourbonne oddał adwokatowi cesję.

— Gdzie ja podzię wszystkie moje meble? — wykrzyknął Birotteau — i moje książki, moją piękną bibliotekę, moje piękne obrazy, mój czerwony salon, słowem całe moje urządzenie!

I rozpacz nieboraka, który znalazł się, aby tak rzec, na bruku, miała coś tak naiwnego, tak dobrze malowała czystość jego obyczajów, jego nieświadomość spraw tego świata, że pani de Listomere i panna Salomon zaczęły go pocieszać, tonem matki, która obiecuje dziecku zabawkę.

— Ech! będzie się ksiądz kłopotał o takie drobiazgi? Ale i znajdziemy księdzu zawsze jakieś mieszkanie, mniej zimne, mniej czarne niż u panny Gamard. Gdyby się nie znalazło coś, co by się księdzu nadało, to cóż, jedna z nas weźmie księdza do siebie. No, siadajmy do tryktraka<sup>79</sup>. Jutro pójdzie ksiądz do księdza Troubert poprosić go o poparcie: zobaczy ksiądz, jak księdza dobrze przyjmie!

Ludzie słabi nabierają otuchy równie szybko, jak się nastraszyli. Zatem biedny Birotteau, olśniony widokami mieszkania u pani de Listomere, zapomniał o bezpowrotnej ruinie szczęścia, którego tak długo był pragnął, którym się tak napawał. Ale wieczorem, nim usnął, trapił się jak człowiek, dla którego kłopoty przenosin oraz zmiana przyzwyczajeń były ostateczną klęską. Dręczył się, czy znajdzie dla swojej biblioteki pomieszczenie równie dogodne. Widząc swoje książki wędrujące, meble porozwlekane, dom cały w nieładzie, pytał po tysiąc razy w duchu, czemu pierwszy rok u panny Gamard był tak błogi, a drugi tak okrutny. I wciąż przygoda jego była ową studnią bez dna, w której tonął jego rozum. Kanonia nie wydawała mu się już dostatecznym odszkodowaniem za tyle nieszczęść; porównywał swoje życie do pończochy, w której gdy jedno oczko puści, wszystko się pruje. Zostawała mu panna Salomon. Ale, tracąc stare złudzenia, biedny ksiądz nie śmiał już wierzyć w młodą przyjaźń.

W *citta dolente*<sup>80</sup> starych panien spotyka się, zwłaszcza we Francji, wiele takich, których życie jest codzienną ofiarą szlachetnie składaną na ołtarzu szlachetnych uczuć. Jedne dumnie pozostają wierne sercu, które śmierć im zbyt szybko wydarła: te męczennice miłości umieją pozostać kobietami duszą. Inne posłuszne są dumie rodzinnej, która, ku naszemu wstydu, z każdym dniem upada, i poświęcają się dla kariery brata lub dla osieroconych bratanków: te stają się matkami, zostając dziewicami. Te stare panny sięgają najwyższego heroizmu swojej płci, poświęcając wszystkie kobiece uczucia kultowi nieszczęścia. Idealizują postać kobiety, wyrzekając się słodczy swego losu, a przyjmując tylko jego trudy. Żyją otoczone blaskiem swego poświęcenia, a mężczyźni skłaniają z szacunkiem głowę przed ich zwiędłymi rysami. Panna de Sombreuil<sup>81</sup> nie była ani kobietą, ani panną; była i będzie zawsze żywą poezją. Panna Salomon należała do tych heroicznych istot. Poświęcenie jej było tym wspanialsze, iż miało pozostać bez chwały, będąc równocześnie każdodzienną męką. Będąc młodą i piękną, pokochała, była kochaną<sup>82</sup>; narzeczony jej postradał zmysły. Przez pięć lat poświęciła się, z całą odwagą miłości, pielęgnowaniu nieszczęśnika, z którego szaleństwem zespoliła się tak zupełnie, iż nie uważała go za szalonego. Była to zresztą osoba prosta w obejściu, szczerą w mowie; blada jej twarz, mimo regularności rysów, miała wiele wyrazu. Nie mówiła nigdy o swoim życiu. Czasami tylko nagły dreszcz, który ją wstrząsnął, kiedy słyszała opowiadanie jakiejś strasznej lub smutnej przygody, odsłaniał w niej bogactwo duszy, jakie rozwija się z wielkich bólów. Osiadła w Tours straciwszy towarzysza swego życia. Nikt nie mógł tam ocenić jej istotnej wartości; uchodziła za *dobrą osobę*. Czyniła wiele dobrego; czuła zwłaszcza pociąg do istot słabych. Z tego tytułu biedny wikariusz musiał w niej obudzić głęboką sympatię.

Własność, Bogactwo

Kobieta, Opieka

<sup>79</sup>tryktrak — gra planszowa. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*citta dolente* (wł.) — kraina cierpień, tak nazywa piekło Dante w *Boskiej komedii*. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>panna de Sombreuil (1774–1823) — córka marszałka de Sombreuil, uwięzionego w 1792 r., w okresie masowych egzekucji, odwagą swą i poświęceniem ocaliła ojca, zwróciwszy się o łaskę do ludu. Heroizm jej opiewali poeci, m. in. Wiktor Hugo. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Będąc młodą i piękną, pokochała, była kochaną — cytat z utworu Ludwik Lambert Balzaca. [przypis edytorski]

Panna de Villenoix, która rano jechała do miasta, zabrała z sobą księdza Birotteau, wysadziła go na ulicy Katedralnej, skąd ruszył w stronę *Klasztoru*. Pilno mu było przybyć, aby ocalić z rozbicia bodaj kanonik i czuwać nad przeniesieniem mebli. Zadzwoił, nie bez gwałtownego bicia serca, jakiego doznał na progu domu, gdzie zwykł był wchodzić od czternastu lat, w którym mieszkał i skąd skazał się na wiekuiste wygnanie. A tak marzył, iż umrze tam w pokoju, śladem księdza Chapeloud! Marianna przyjęła wikariusza ze zdziwieniem. Oświadczył, że chce się widzieć z ks. Troubert, i skierował się w stronę mieszkania kanonika; ale Marianna krzyknęła:

— Kanonik już tam nie mieszka, proszę księdza: jest w dawnym księdzowym mieszkaniu.

Słowa te wstrząsnęły straszliwie wikariusza. Zrozumiał wreszcie charakter Trouberta oraz jego powoli gotowaną zemstę, kiedy go ujrzał w bibliotece księdza Chapeloud, siedzącego w jego pięknym gotyckim fotelu, śpijącego zapewne w jego łóżku, obalającego jego testament i wreszcie wydziedziczającego przyjaciela tego Chapeloud, który go tak długo więził u panny Gamard, broniąc mu wszelkiego awansu i zamykając mu salony w Tours. Jaka różdżka czarnoksiężska dokonała tej metamorfozy? Czyż to wszystko nie należało już do księdza Birotteau? To pewna, iż widząc sardoniczny uśmiech, z jakim Troubert spoglądał na tę bibliotekę, biedny Birotteau zrozumiał, że przyszły generalny wikariusz pewien jest wiecznego posiadania łupu po tych, których tak okrutnie nienawidził; księdza Chapeloud jako swego wroga, a księdza Birotteau, ponieważ odnajdywał w nim jeszcze tamtego. Na ten widok, tysiączne myśli zaroily się w sercu nieboraka i pograżyły go jak gdyby we śnie. Stał nieruchomy, niby urzeczony okiem Trouberta, który spoglądał na niego bystro.

— Nie sądzę, księżo — rzekł wreszcie Birotteau — abyś mnie chciał pozbawiać rzeczy, które należą do mnie. Jeżeli pannie Gamard było tak pilno dać księdzu lepsze pomieszczenie, winna była bądź co bądź zachować tyle względów, aby mi zostawić czas na spakowanie książek i zabranie mebli.

— Mój księżo — rzekł zimno ks. Troubert — panna Gamard oznajmiła mi wczoraj, że się ksiądz wyprowadza, nie wiem z jakiej przyczyny. Jeżeli mnie pomieściła tutaj, to z musu. Ksiądz Poirel zajął moje mieszkanie. Nie wiem, czy rzeczy znajdujące się w tych pokojach należą do panny Gamard, czy nie; jeżeli są pańskie, znasz ksiądz jej rzetelność: świętość jej życia jest rękojmią jej uczciwości. Co do mnie, nie jest księdzu tajna prostota moich obyczajów. Spiałem przez piętnaście lat w gołych ścianach nie zważając na wilgoć, która z biegiem czasu mnie zabiła. Mimo to, gdyby ksiądz chciał na nowo zająć to mieszkanie, ustąpiłbym go chętnie.

Słyszając te straszliwe słowa, Birotteau zapomniał o kanonii i zbiegł z chyżością młodzieńca, aby szukać panny Gamard. Znalazł ją na dole, w obszernej sieni, która łączyła dwa apartamenty.

— Pani — rzekł, kłaniając się i nie zwracając uwagi na zgryźliwy i drwiący uśmiech błędzący po jej wargach ani na niezwykły płomień dający jej oczom blask oczu tygrysa — nie umiem sobie wytłumaczyć, że pani nie zaczekała aż zabiorę moje meble, zanim...

— Jak to! — przerwała — czy wszystkich pańskich rzeczy nie złożono u pani de Listomere?

— Ale moje meble?

— Czyż ksiądz nie czytał swojej umowy? — rzekła stara panna tonem, który trzeba by móc zanotować muzycznie, aby pokazać, ile odcieni nienawiści umie zamknąć w akcencie każdego słowa.

Zdawało się, że panna Gamard urosła; oczy jej błysnęły jeszcze mocniej, twarz rozpromieniła się, całe jej ciało zadrżało z rozkoszy. Ksiądz Troubert otworzył okno, aby móc lepiej czytać jakieś *in folio*. Birotteau stał jakby rażony gromem. Panna Gamard krzyczała mu w uszy, głosem tak dźwięcznym jak dźwięk trąbki, następujące słowa:

— Czyż nie umówiliśmy się, iż, w razie gdyby się ksiądz wyprowadził, meble przechodzą na moją własność, jako odszkodowanie za różnicę między pensją księdza a pensją, którą płacił przezacny ksiądz Chapeloud? Otóż, ponieważ księdza Poirel mianowano kanonikiem...

Słyszając te ostatnie słowa, Birotteau pochylił się lekko, jak gdyby kłaniając się starej pannie; po czym wyszedł śpiesznie. Bał się, iż, gdyby został dłużej, zemdleje i dostarczy

Zemsta, Krzywda

Chciwość

Rozpacz

zbyt wielkiego tryumfu nieubłaganym wrogom. Idąc jak człowiek pijany, zaszedł do pani de Listomere, gdzie znalazł w sieni swoją bieliznę, ubranie i papiery mieszczące się w jednej walizce. Na widok szczątków swego dobytku nieszczęśliwy ksiądz usiadł i ukrył twarz w dłoniach, aby zasłonić swoje oczy we łzach. Ksiądz Poirel kanonikiem! On, Birotteau, został bez dachu, bez środków i bez mebli!

Szczęściem, panna Salomon przejeżdżała tamtędy. Odźwierny, który zrozumiał rozpacz nieboraka, skinął na woźnicę. Po kilku słowach wymienionych między starą panną a odźwiernym, wikariusz dał się podprowadzić wpół żywy do wiernej przyjaciółki, która nie zdołała z niego wydobyć nic prócz słów bez związku. Panna Salomon, przerażona tym gwałtownym zamętem w głowie już tak słabej, zabrała go na natychmiast do *Skowronka*, przypisując ten początek pomieszania zmysłów wrażeniu, jakie sprawiła nominacja księdza Poirel. Nie знаła umowy księdza z panną Gamard, dla tej prostej przyczyny, iż on sam nie zdawał sobie sprawy z jej doniosłości. Że zaś jest w naturze człowieka, iż komizm miesza się niekiedy z najbardziej dramatycznymi rzeczami, dziwne odpowiedzi księdza Birotteau przyprawiły niemal o uśmiech pannę Salomon.

— Chapeloud miał słuszość — powiadał. — To potwór!

— Kto? — spytała.

— Chapeloud. Wszystko mi zabrał.

— Kto, Poirel?

— Nie, Troubert.

Wreszcie przybyli do *Skowronka*. Przyjaciele księdza otoczyli go tak gorliwymi staraniami, iż pod wieczór uspokoili go i zdołali z niego wydobyć relację o tym, co się zdarzyło w ciągu rana.

Flegmatyczny ziemianin zażądał przede wszystkim aktu, w którym od wczoraj domyślał się słowa zagadki. Birotteau wydobył z kieszeni nieszczęsny papier, podał go panu de Bourbonne, który odczytał go śpiesznie i doszedł niebawem do takiej klauzuli:

„Ponieważ istnieje różnica ośmuset franków rocznie między pensją, jaką płacił nieboszczyk ksiądz Chapeloud a tą, za jaką rzeczona Zofia Gamard godzi się przyjąć w swój dom, na powyżej wyszczególnionych warunkach, rzeczono Franciszka Birotteau, zważywszy iż podpisany Franciszek Birotteau uznaje się ponad wszelką wątpliwość niezdolnym przez wiele lat opłacać pensję płaconą przez pensjonariuszy panny Gamard, a w szczególności przez księdza Troubert, w uznaniu wreszcie rozmaitych zaliczek wypłacanych mu przez rzeczoną podpisaną Zofię Gamard, rzeczony Birotteau zobowiązuje się zostawić jej tytułem odszkodowania ruchomości, które będą w jego posiadaniu w chwili jego zgonu, lub też, gdyby, dla jakiegokolwiek przyczyny, opuścił z dobrej woli, w jakiegokolwiek porze, obecnie zajmowany lokal, i przestał korzystać z korzyści zastrzeżonych w zobowiązaniu zaciągniętemu względem niego przez pannę Gamard”...

— Tam do licha, cóż za historia! — wykrzyknął obywatel — i co za szpony ma ta rzeczona<sup>83</sup> Zofia Gamard!

Biedny Birotteau, nie wyobrażając sobie w swoim dziecięcym mózgu żadnej przyczyny, która by go mogła rozdzielić kiedyś z panną Gamard, spodziewał się umrzeć w jej domu. Nie pamiętał zupełnie tej klauzuli, której punktów nawet nie rozważył w owym czasie, tak mu się wydawała sprawiedliwa wówczas, gdy, w swoim pragnieniu zamieszkania u starej panny, byłby podpisał wszystkie pergaminy, jakie by mu podsunęto. Naivność ta była tak czcigodna, a postępowanie panny Gamard tak ohydne; los biednego starca miał w sobie coś tak żalosego, a niemoc czyniła go tak wzruszającym, że, w pierwszej chwili oburzenia, pani de Listomere wykrzyknęła:

— Ja jestem przyczyną podpisania aktu, który ksiądz zrujnował, do mnie należy zwrócić księdzu szczęście, którego cię pozbawiłam.

— Ba — rzekł stary szlachcic — ten akt kryje w sobie znamiona podstępny; tu jest punkt do procesu...

— Wybornie! Ksiądz wniesie skargę. Jeżeli przegra w Tours, wygra w Orleanie, Jeżeli przegra w Orleanie, wygra w Paryżu — wykrzyknął baron de Listomere.

— Jeżeli chce się procesować — odparł zimno p. de Bourbonne — radzę mu ustąpić wpierw z wikariatu.

<sup>83</sup>ręczony — wspomniany. [przypis edytorski]

— Poradzimy się adwokatów — rzekła pani de Listomere — i będziemy się procesowali, jeśli trzeba. Ale ta sprawa jest zbyt hańbiąca dla panny Gamard i może się stać zbyt szkodliwa dla księdza Troubert, abyśmy nie mieli uzyskać jakiej ugody.

Po dojrzałej rozwadze każdy przyrzekł pomoc księdzu Birotteau w walce, jaka go czekała ze stronnikami jego wrogów. Niezawodne przecucie, nieokreślony prowincjonalny instynkt kazał wszystkim łączyć te dwa nazwiska: Troubert i Gamard. Ale nikt z osób, które znajdowały się wówczas u pani de Listomere, z wyjątkiem starego *wygi*, nie miał jasnego pojęcia o doniosłości podobnej walki. P. de Bourbonne odciągnął biednego księdza na bok.

— Z czternastu osób, które są tutaj, za dwa tygodnie ani jednej nie będzie miał ksiądz za sobą. Jeżeli będzie ksiądz potrzebował czyjejs pomocy, jedynie ja będę może na tyle śmiały, aby cię wziąć w obronę. Ja znam prowincję, ludzi, okoliczności, a co ważniejsze, interesy! Wszyscy pańscy przyjaciele, mimo że pełni dobrych intencji, pchają pana na złą drogę, z której ksiądz nie wybrniesz. Posłuchaj pan mojej rady. Jeżeli chcesz żyć w spokoju, rzuć swój wikariat, opuść Tours. Nie mów, dokąd się udajesz, ale postaraj się o jakieś odległe probostwo, gdzie by Troubert nie mógł cię dosięgnąć.

— Opuścić Tours? — wykrzyknął wikariusz z nieopisanym przerażeniem.

Była to dla niego śmierć. Czyż to nie znaczyło zniszczyć wszystkie korzenie, którymi tkwił w świecie? U ludzi bezzennych przyzwyczajenie zastępuje uczucia. Kiedy ten ustrój moralny, mocą którego nie tyle żyją, ile przechodzą przez życie, połączy się ze słabym charakterem, wpływ rzeczy zewnętrznych wyrasta u nich do zdumiewających rozmiarów. Birotteau stał się podobny do rośliny: przeschępić go, znaczyło podciąć jej niewinne życie. Jak drzewo, aby żyć, musi wciąż ssać te same soki i tkwić w jednym gruncie, tak Birotteau musiał wciąż dreptać po katedrze, kręcić się w miejscu, gdzie nawykł się przechadzać, mijając te same ulice, odwiedzając trzy salony, gdzie co wieczór grywał w wista lub tryktraka.

— A! Nie pomyślałem o tym — odparł p. de Bourbonne, spoglądając na księdza z litością.

Całe Tours dowiedziało się niebawem, że baronowa de Listomere, wdowa po generale-poruczniku, wzięła do domu księdza Birotteau, wikariusza katedry. Fakt ten, który wiele osób podawało w wątpliwość, przeciał stanowczo wszystkie kwestie i rozgraniczył stronnictwa, zwłaszcza gdy panna Salomon odważyła się pierwsza mówić o podstępie i o procesie. Drażliwa ambicja, która cechuje stare panny, oraz wrodzona zaciekłość panny Gamard sprawiły, iż uczuła się mocno dotknięta rolą pani de Listomere. Baronowa była to osoba z wielkiego świata, wykwinna, osoba której dobrego smaku, dworności, pobożności nikt nie mógł podać w wątpliwość. Biorąc do domu księdza Birotteau, potępiła tym samym jawnie pannę Gamard, krytykowała pośrednio jej zachowanie i sankcjonowała niejako żale wikariusza.

Dla zrozumienia tej historii trzeba wyjaśnić, ile siły użyczała pannie Gamard bystrość, z jaką stare kobiety zdają sobie sprawę z postępów drugich, jak również jaką bronią rozporządzali jej poplecznicy. Stara panna, wraz z milczącym księdzem Troubert, spędzała wieczory w kilku domach, gdzie zbierała się garstka osób zespolonych wspólnością upodobań i analogią sytuacji. Było to paru starców żyjących plotkami i zainteresowaniami swoich gospodyń, kilka starych panien trawiących dni na rozbieraniu słów, na wazeniu kroków swoich sąsiadów oraz ludzi pomieszczonych powyżej lub poniżej nich w hierarchii społecznej; wreszcie kilka starych kobiet wyłącznie zajętych destylowaniem plotek, prowadzeniem rejestru wszystkich majątków i kontrolowaniem cudzych czynności; przepowiadały małżeństwa i krytykowały równie cierpko postępowanie swoich przyjaciółek jak nieprzyjaciółek. Osoby te, rozmieszczone w mieście niby naczynia włoskowane w roślinie, łaknęły, niby liść rosy, nowinek, tajemnic każdego stadła, wysysały je i udzielały ich natychmiast księdzu Troubert, tak jak liście udzielają lodydze wilgoci, którą wchłonęły. Za czym, co wieczora, parte ową potrzebą wzruszeń, która mieszka w każdej istocie, zacne te dewotki sporządzały dokładny bilans miejscowych stosunków, rozwijając w tym bystrość godną Rady Dziewięciu<sup>84</sup>, i uprawiając szpiegostwo niezawodne siłą swego zapału. Następnie, kiedy odgadły tajemną przyczynę jakiegoś wypadku,

<sup>84</sup>Rada Dziewięciu — organ rządzący. [przypis edytorski]

miały tę ambicję, aby wchłonąć całą mądrość swego sanhedrynu<sup>85</sup>, i dzięki temu grać pierwsze skrzypce plotek każda w swojej sferze. Kongregacja ta, beczynna a tak czynna, niewidzialna a widząca wszystko, niema a gadająca bez ustanku, posiadała wpływ, nie niebezpieczny na pozór z powodu nicości tego światka, ale straszliwy z chwilą, gdy go ożywia jakiś wyższy interes. Otóż, od dawna już nie pojawił się w sferze ich istnień wypadek równie doniosły i poważny, jak walka księdza Birotteau, wspomaganego przez panią de Listomere, przeciw księdzu Troubert i pannie Gamard. Domy, w których bywała panna Gamard, uważały za wrogi obóz salony pań de Listomere, de la Blottiere i de Villenoix; na dnie tego sporu czaiły się wszystkie klasowe próżności. Była to walka ludu i senatu rzymskiego w kretowisku, albo też burza w szklance wody, jak powiedział Monteskiusz o republice San-Marino, gdzie godności publiczne trwały tylko jeden dzień, tak łatwo tam było zagarnąć tyranję. Bądź co bądź ta burza rodziła w duszach tyleż namiętności, ile byłoby trzeba, aby kierować największymi sprawami. Czyż nie jest błędem mniemać, że czas biegnie szybciej jedynie dla serc miotanych wielkimi zamiarami, które mącą życie i doprowadzają je do wrzenia? Godziny księdza Troubert biegly równie żywo, umykały brzemienne myślami równie pełnymi trosk, były pomarszczone nadzieją i rozpaczą równie głęboką, jak straszliwe godziny człowieka ambitnego, kochanka lub gracza. Sam Bóg zna sumę energii, jaką nas kosztują tajemnie odniesione tryumfy nad ludźmi, wypadkami i nad samymi sobą. O ile nie zawsze wiemy, dokąd dążymy, znamy dobrze trudy podróży! Jeżeli wolno jest historykowi porzucić dramat, który opowiada, aby objąć na chwilę rolę krytyka, jeżeli wam pokazuje na chwilę życie tych starych panien i dwóch księży, aby tam poszukać przyczyn nieszczęścia, które je zatrulo w samej jego istocie, zrozumiecie może, że człowiek musi zaznać pewnych namiętności, aby rozwinąć w sobie przymioty uszlachetniające jego życie, rozszerzające jego sferę i dławiające egoizm wrodzony wszystkim stworzeniom.

Pani de Listomere wróciła do miasta, nie wiedząc, że od kilku dni przyjaciele jej zmuszeni byli odierać bajki obiegujące o niej. Bajki te, z których uśmiełaby się, gdyby o nich wiedziała, podsuwały jej przywiązaniu do bratanka pobudki mocno podejrzone. Zaprowadziła księdza Birotteau do adwokata, któremu proces nie wydał się rzeczą łatwą. Przyjaciele wikarego, spokojni o los dobrej sprawy, lub też opieszali w sporze nie tyjącym ich osobiście, odłożyli rzecz na porę gdy wrócą do Tours. Przyjaciele panny Gamard mogli tedy ich uprzedzić i umieli przedstawić rzecz w świetle niekorzystnym dla księdza Birotteau. Tak więc prawnik, którego klientela składała się wyłącznie z osób nabożnych, zdziwił wielce panią de Listomere, radząc jej, aby się nie wdawała w podobny proces; oświadczył zresztą, że on nie podjąłby się jego prowadzenia. Prawnie, panna Gamard w myśl brzmienia aktu ma słuszość. Moralnie, to znaczy poza wykładem ściśle prawnym, w oczach trybunału i opinii, ksiądz Birotteau okazałby się człowiekiem pozbawionym owego ducha pokoju, łagodności, zgody, sprzecznie z tym co o nim mniemano dotychczas. Panna Gamard — mówił adwokat — wygodziła<sup>86</sup> księdzu Birotteau, pożyczając mu pieniądze na koszt połączone z testamentem księdza Chapeloud, i to bez kwitu. Ani wiek, ani charakter księdza Birotteau nie pozwalają przypuszczać, aby podpisał akt, nie wiedząc, co zawiera, ani też nie znając jego wagi. Jeżeli opuścił dom panny Gamard po dwóch latach, gdy przyjaciel jego Chapeloud spędził tam lat dwanaście, a Troubert piętnaście, musiało to mieć jakieś pobudki, jemu tylko znane; proces osądzono by tedy jako akt niewdzięczności, etc. Podczas gdy Birotteau miał się ku wyjściu, adwokat odciągnął na bok panią de Listomere i zaklął ją, w imię jej spokoju, aby się nie mieszała do tej sprawy.

Jednakże, wieczorem, biedny wikary, który męczył się tak, jak skazaniec męczy się w swej celi, czekając na wynik apelacji, nie mógł się powstrzymać, aby nie opowiedzieć przyjaciółom rezultatu swojej wizyty, w chwili gdy, przed partyjką, wszyscy skupili się koło kominka.

— Wyjąwszy adwokata liberalów, nie widzę w Tours prawnika, który by się podjął tego procesu, chyba z zamiarem przegrania go — wykrzyknął p. de Bourbonne. — Nie radzę się w to wdawać.

<sup>85</sup>sanhedryn — rada starszych. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>wygodzić (daw.) — spełnić czyjeś życzenia. [przypis edytorski]

— W takim razie to jest nikczemność — rzekł porucznik okrętu. — Ja zaprowadzę księdza do tego adwokata.

— Idźcie tam, kiedy już będzie noc — przerwał mu p. de Bourbonne.

— A to czemu?

— Dowiedziałem się przed chwilą, że ks. Troubert otrzymał miejsce po generalnym wikariuszu, który umarł przedwczoraj.

— Kpię sobie z waszego księdza Troubert!

Nieszczęściem, baron de Listomere, człowiek trzydziestosześcioletni, nie dojrzał znaku jaki mu dał p. de Bourbonne, zalecając mu, aby ważył swoje słowa i wskazując radcę prefektury, przyjaciela Trouberta. Porucznik dodał tedy:

— Jeżeli ksiądz Troubert jest łajdakiem...

— Och! — przerwał p. de Bourbonne — po co mieszać księdza Troubert do sprawy, której jest najzupełniej obcy?...

— Ależ — rzekł baron — czyż nie korzysta z mebli księdza Birotteau? Przypominam sobie, że byłem raz u ks. Chapeloud i widziałem tam dwa cenne obrazy. Przypuśćmy, że warte są dziesięć tysięcy franków... Czy sądzicie, że ks. Birotteau miał zamiar dać za dwa lata mieszkania u panny Gamard dziesięć tysięcy franków, kiedy już biblioteka i meble warte są w przybliżeniu tyleż?

Ksiądz Birotteau zrobił wielkie oczy, dowiadując się, że posiadał tak olbrzymi kapitał; baron zaś, podniecony, dodał:

— Tam do licha! P. Salmon, były ekspert paryskiego Muzeum, przybył tu odwiedzić swoją teściową. Pójdę do niego dziś wieczór jeszcze z księdzem Birotteau, poprosić go aby oszacował obrazy. Stamtąd pójdziemy do adwokata.

W dwa dni po tej rozmowie proces był rzeczą postanowioną. Adwokat liberalów, objąwszy sprawę księdza Birotteau, wiele przyczynił się do zwrotu opinii na niekorzyść wikarego. L. udzie przeciwni rządowi oraz ci, którzy znani byli jako niechętni księżom lub religii — dwie rzeczy, które wiele osób miesza — zajęli się tą sprawą, o której mówiło całe miasto. Były ekspert Muzeum oszacował na jedenaście tysięcy franków *Madonnę* Walentina oraz *Chrystusa* Lebruna, obrazy pierwszorzędnej piękności. Co się tyczy biblioteki i gotyckich mebli, rosnący z każdym dniem w Paryżu szal do tych rzeczy dawał im chwilowo wartość dwunastu tysięcy.

Słowem, zbadawszy wszystko, ekspert ocenił całe urządzenie na trzydzieści tysięcy franków. Jasnym było, że Birotteau nie miał zamiaru darować pannie Gamard tej ogromnej sumy za tych trochę pieniędzy, jakie mogły jej przypadać. Zachodziła tedy potrzeba *zreasumowania*<sup>87</sup>, mówiąc prawniczo, umowy; inaczej stara panna stawała się winną rozmyślnego podejścia. Adwokat liberalów rozpoczął tedy sprawę od skargi przeciw pannie Gamard. Mimo iż bardzo jadowity, akt ten, poparty cytatami orzeczeń najwyższego Trybunału oraz wzmocniony kilkoma paragrafami, był istnym arcydziełem prawniczej logiki i potępił starą pannę tak niezbitcie, iż opozycja rozdała po mieście kilkadziesiąt kopii skargi.

W kilka dni po rozpoczęciu kroków wojennych między starą panną a księdzem Birotteau, baron de Listomere, który miał nadzieję zostać przy najbliższym awansie kapitanem korwety<sup>88</sup>, otrzymał list, w którym jeden z przyjaciół oznajmiał mu, że jest w ministerium mowa o tym, aby go w ogóle usunąć ze służby. Zdumiony tą wiadomością, pojechał co rychlej<sup>89</sup> do Paryża i wybrał się na wieczór do ministra, który sam wydał się mocno zdziwiony, ale roześmiał się z obaw barona. Nazajutrz, mimo zapewnień ministra, baron zasięgnął języka w ministerium. Popelniając niedyskrecję w imię przyjaźni, pewien sekretarz pokazał mu gotowy już referat, którego jedynie wskutek choroby dyrektora nie przedłożono ministrowi; referat ten potwierdzał fatalną wiadomość. Natychmiast baron de Listomere udał się do wuja, który, będąc posłem, miał sposobność widzieć bezzwłocznie ministra w Izbie. Poprosił go, aby wy badał zamiary Ekscelencji, chodzi tu bowiem o całą jego przyszłość. Toteż z najwyższym niepokojem czekał w karcie końca posiedzenia. Poseł wyszedł o wiele przed końcem i w drodze do domu przemówił do siostrzeńca tymi słowami:

<sup>87</sup>*zreasumowanie* — streszczenia najważniejszych tez umowy. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*kapitan korwety* — stopień oficera w marynarce francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*rychlej* (daw.) — szybciej. [przypis edytorski]

— Co u licha! ty się bawisz w jakieś wojny z księżmi? Minister oświadczył mi na wstępie, żeś ty stanął na czele liberałów w Tours! „Masz fatalne zasady, nie trzymasz się linii rządu, etc.” Prawił tak krętymi frazesami, jak gdyby przemawiał jeszcze w Izbie. Wówczas wypaliłem wręcz: „Gadajmyż na rozum!” Jego Eksceleńcja wygadał się w końcu, że jesteś źle z konsystorzem<sup>90</sup>. Krótko mówiąc, zasięgnąwszy języka u paru kolegów, dowiedziałem się, że wyrażałeś się bardzo lekko o niejakim księdzu Troubert, prostym wikariuszu generalnym, ale zarazem najwybitniejszej osobistości na całej prowincji, gdzie jest przedstawicielem Kongregacji. Zaręczyłem za ciebie ministrowi własną głową. Mości bratanku, jeżeli chcesz dojść do czegoś, nie narażaj się księżom. Jedź prędko do Tours i pogódź się z tym diabelskim klechą. Dowiedz się, że generalni wikariusze to ludzie, z którymi zawsze trzeba żyć w zgodzie. Tam do licha! Kiedy my pracujemy wszyscy nad odbudową religii, idiotyczne jest, aby prosty porucznik okrętu, który chce zostać kapitanem, dyskredytował księży! Jeżeli się nie pogodzisz z księdzem Troubert, nie licz na mnie: zaprę się ciebie. Minister Spraw Kościelnych mówił ze mną przed chwilą o tym człowieku jako o przyszłym biskupie. Gdyby Troubert wziął na ząb naszą rodzinę, mógłby ubić moje parostwo przy najbliższych nominacjach. Rozumiesz?

Słowa te oświectliły porucznikowi okrętu tajemne zatrudnienia Trouberta, o którym Birotteau powiadał głupawo: „Nie wiem, nad czym on tak siedzi całe noce”.

Pozycja kanonika w senacie niewieścim, pełniącym tak subtelnie funkcje prowincjonalnej policji, jak również zdolności jego osobiste ściągnęły nań oczy Kongregacji, która wybrała go na swego tajnego prokonsula na całą Turenję. Arcybiskup, generał, prefekt, wielcy i mali, wszyscy byli pod jego tajną władzą. Baron de Listomere szybko powziął decyzję.

— Nie mam ochoty — rzekł do wuja — otrzymać drugiego pasterskiego upomnienia.

W trzy dni po tej familijno-dyplomatycznej konferencji, marynarz, wróciwszy ekstrapocztą<sup>91</sup> do Tours, objaśnił ciotce niebezpieczeństwa, jakie grożą najdroższym nadziejom rodziny Listomere, jeżeli będą nadal obstawać za *tym ciemięgą*<sup>92</sup> Birotteau. Baron zatrzymał pana de Bourbonne w chwili, gdy stary szlachcic ukończywszy partyjkę brał laskę i kapelusza. Doświadczenie *starego wygi* było nieodzowne dla oświecenia raf, wśród których znaleźli się Listomerowie, *stary wyga* zaś jedynie po to tak wcześnie szukał laski i kapelusza, aby mu szepnięto do ucha:

— Niech pan zostanie, chcielibyśmy pomówić z panem.

Szybki powrót barona, jego zadowolona mina, to znów powaga malująca się chwilami na jego twarzy, pozwoliły panu de Bourbonne domyślić się jakichś klęsk, które baron musiał ponieść w swojej kampanii przeciw spółce Gamard-Troubert. Nie okazał zdumienia słysząc z ust barona tajemnicę potęgi generalnego wikariusza i męża zaufania Kongregacji.

— Wiedziałem o tym — rzekł.

— Jak to! — wykrzyknęła baronowa — czemuż nas pan nie ostrzegł?

— Pani — odparł żywo — zapomnijcie państwo, że ja odgadłem niewidzialny wpływ tego księdza, a ja zapomnę, że wy go znacie również. Gdybyśmy nie dochowali sekretu, uchodzilibyśmy za jego współników; lękano by się nas i znienawidzono. Róbcie jak ja: udawajcie, że dajecie się omamić, ale wiedźcie, gdzie stawiacie nogi. Powiedziałem wam dosyć w tej mierze, nie zrozumieliście mnie, a ja nie chciałem się narażać.

— Co teraz czynić? — rzekł baron.

Poniechać<sup>93</sup> księdza Birotteau nie było nawet żadną kwestią; był to pierwszy warunek rozumiejący się sam przez się dla trojga deliberujących.

— Wykonać odwrót z honorami wojennymi było zawsze arcydziełem najzdolniejszych wodzów — odparł p. de Bourbonne. — Ukorźcie się przed Troubertem, jeżeli próżność jego silniejsza jest od nienawiści, zyskacie w nim sprzymierzeńca; ale jeżeli ukorźcie się zanadto, przejdzie po was, albowiem Złem wszystko raczej, to hasło Kościoła,

<sup>90</sup>konsystorz — od łac. *consistorium*, tj. zgromadzenie: sąd przy kurii biskupiej. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>ekstrapocztą (daw.) — specjalna bryczka pocztowa jadąca szybciej niż zwykła. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>ciemięga (daw.) — człowiek niezdarny, niedołęga. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>poniechać (daw.) — porzucić, zostawić. [przypis edytorski]

—powiedział Boileau<sup>94</sup>. — Pan, panie baronie, udaj, że porzucasz służbę, a wymkniesz mu się z łap. — Pani niech usunie wikarego z domu, dając tym samym wygraną pannie Gamard. Spotkawszy księdza Troubert u arcybiskupa, spyta go pani, czy grywa w wista: odpowie *tak*. Zaprosi go pani na partyjkę do tego salonu, gdzie tak pragnąłby się dostać; przyjdzie z pewnością. Jest pani kobietą; niech się pani stara pozyskać tego księdza. Kiedy baron będzie kapitanem okrętu, jego wuj Parem Francji, a Troubert biskupem, będziecie mogli zrobić sobie tego Birotteau kanonikiem. Aż do tej pory ustępujcie, ale ustępujcie z wdziękiem i umiejąc grozić. Wasza rodzina może użyzyć Troubertowi tyle poparcia, ile on wam; porozumiecie się doskonale. — Zresztą żegluj pan z sondą w rękę, panie marynarzu!

— Biedny Birotteau! — rzekła baronowa.

— Och! Załatwicie go szybko — odparł szlachcic na odchodnym. — Gdyby jaki zręczny liberał opanował tę pustą głowę, mógłby wam narobić przykrości. Ostatecznie wyrok byłby na jego korzyść; toteż Troubert musi się bać sądu. Może wam jeszcze przebaczyć żeście wszczęli walkę; ale po klęsce byłby nieubлагany. Rzekłem.

Puknął w tabakierkę<sup>95</sup>, włożył kalosze i ruszył w drogę.

Nazajutrz rano, po śniadaniu, baronowa, zostawszy sama z wikarym, rzekła nie bez zakłopotania:

— Mój drogi księże Birotteau, prośba moja wyda się księdzu bardzo niekonsekwentna i bardzo niesprawiedliwa; ale trzeba dla twego i dla naszego dobra, najpierw umorzyć proces z panną Gamard zrzekając się pretensji, a następnie opuścić mój dom.

Słyszając te słowa, biedny ksiądz zbladł.

— Jestem — rzekła — niewinną przyczyną pańskich nieszczęść. Wiem, że bez mego bratanka nie byłby ksiądz wszczął procesu, który obecnie jest naszym wspólnym strapieniem. Ale niech ksiądz posłucha!

Przedstawiła mu zwięźle olbrzymią doniosłość tej sprawy i wytłumaczyła jej następstwa. Dumając w nocy baronowa odgadła przeszłość księdza Troubert; mogła tedy nieomylnie wskazać wikaremu sieci, w które go omotano, tak zręcznie przygotowany zemstę. Przedstawiła mu wysokie zdolności i wpływy jego wroga, wytłumaczyła mu jego nienawiść i jej przyczyny. Ukazała go, jak przez dwanaście lat płaszczył się przed księdzem Chapeloud, a równocześnie podgryzał go, prześladowając go jeszcze w osobie jego przyjaciela. Naiwny Birotteau złożył ręce jak do modlitwy i zapłakał ze zgryzoty na widok ohydy ludzkiej, której jego niewinna dusza nigdy nie podejrzewała. Prerażony tak, jak gdyby się znalazł na skraju przepaści, z martwymi i wilgotnymi oczyma, niezdolny wyrzec słowa, słuchał przemowy swojej dobrodziejki, która oświadczyła mu na zakończenie:

— Wiem, jak nieładnie jest opuścić cię, drogi księże; ale cóż, obowiązki rodzinne idą przed obowiązkiem przyjaźni. Ustąp, jak ja czynię, tej burzy, będę ci umiała dowieść mej wdzięczności. Nie mówię księdzu o sprawach materialnych, biorę to na siebie. Będiesz na całe życie bez obawy o swoje potrzeby. Za pośrednictwem pana de Bourbonne, który będzie umiał ocalić pozory, postaram się, aby księdzu nie zbywało na niczym. Drogi przyjacielu, rozgrzesz mnie, pozwól bym cię zdradziła. Zostanę twoją przyjaciółką, naginając się do wymagań świata. Rozstrzygaj.

Biedny ksiądz w zdumieniu wykrzyknął:

— Chapeloud miał tedy słuszność, powiadając, że, gdyby Troubert mógł go wciągnąć za nogi do grobu, zrobiłby to! Sypia w łóżku mego Chapeloud!

— Nie pora na lamenty — rzekła pani de Listomere — mamy niewiele czasu przed sobą. Więc cóż?

Birotteau zbyt był pocziwy, aby nie iść w ważnych momentach za odruchem serca. Zresztą jego życie było już tylko agonią. Spojrzał na swą protektorkę rozpaczliwym wzrokiem, który ją zasmucił, i rzekł:

— Zdaje się na panią. Jestem już kawalkiem śmiecia porzuconym na ulicy! Tylko, panie baronowo, dodał, nie chciałbym zostawić Troubertowi portretu mego Chapeloud; robiony był dla mnie, należy do mnie, niech pani uzyska to aby mi go oddano, zrzekam się reszty.

Bezsilność

<sup>94</sup>Boileau, Nicolas (1636–1711) — francuski poeta i krytyk, autor poematu *Sztuka poetycka*. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>tabakierka — pojemnik do przechowywania tabaki. [przypis edytorski]



— A więc — rzekła pani de Listomere — pójdę do panny Gamard.

Ton, jakim wyrzekła te słowa, świadczył o wysiłku, jaki czyniła baronowa de Listomere, zniżając się do paktowań z ambitną starą panną.

— Spróbuję — dodała — wszystko jakoś ułożyć. Zaledwie śmiem mieć nadzieję. Niech ksiądz idzie do pana de Bourbonne, aby sporządził pańskie formalne zrzeczenie, niech mi ksiądz przyniesie ten akt; po czym, z pomocą księdza arcybiskupa, uda się nam może to załatwić.

Birotteau wyszedł przerażony. Troubert urósł w jego oczach do rozmiarów egipskiej piramidy. Ręce tego człowieka były w Paryżu, a łokcie w klasztorze św. Gracjana.

— On — mówił sobie — przeszkodziłby margrabiemu de Listomere zostać parem Francji?... *I może, z pomocą księdza arcybiskupa, uda się to załatwić!*

W obliczu tak wielkich spraw Birotteau uczuł się robakiem: poddał się losowi.

Robak

Nowina o przenosinach księdza Birotteau wywołała zdumienie tym większe, iż nikt nie umiał odgadnąć przyczyny. Pani de Listomere mówiła, że bratanek się żeni i rzuca służbę: musi tedy rozszerzyć swój apartament. Nikt nie wiedział jeszcze o zrzeczeniu się księdza. Toteż instrukcje pana de Bourbonne wykonano skrupulatnie. Te dwie nowiny, które doszły do uszu wielkiego wikariusza, musiały pogłaskać jego miłość własną, dowodząc mu, że, jeżeli rodzina Listomere nie kapituluje, to przynajmniej zostaje neutralna, i uznaje milcząco tajną władzę Kongregacji. Uznać ją, czyż nie znaczy poddać się jej? Ale proces znajdował się *sub judice*<sup>96</sup>. Czyż to nie znaczyło równocześnie ugiąć się i grozić?

Listomerowie zajęli tedy w tej walce stanowisko zupełnie podobne jak wielki wikariusz: zostali zewnątrz i mogli wszystkim kierować. Ale zaszło ważne wydarzenie, które utrudniło sukces planu mającego na celu ułagodzenie stronnictwa Gamard Troubert. Poprzedniego dnia panna Gamard zaziębiła się wychodząc z katedry; położyła się do łóżka widocznie ciężko chora. Całe miasto rozbrzmiewało lamentami fałszywego współczucia. „Serce panny Gamard nie mogło wytrzymać tego skandalicznego procesu. Mimo swoich słusznych praw, umrze ze zmartwienia. Birotteau zabił swoją dobrodziejkę...” Taka była treść zdań sączonych włoskowatymi naczyniami wielkiego zboru niewieściego i skwapliwie powtarzanych przez całe Tours.

Panią de Listomere spotkał ten wstyd, iż wybrawszy się do starej panny, nie zebrała żadnego owocu ze swej wizyty. Zapytała bardzo grzecznie o generalnego wikariusza.

Troubert rad był może, iż może przyjąć, w bibliotece księdza Chapeloud, i przy tym kominku ozdobionym dwoma słynnymi obrazami będącymi przedmiotem sporu, kobietę, która nie doceniła go niegdyś. Wytrzymał baronową chwilę, po czym zgodził się użyczyć jej audiencji. Nigdy żaden dworak ani dyplomata prowadzący swoje prywatne sprawy lub też państwowe negocjacje nie rozwinęli w rokowaniach więcej zręczności, obłudy, rozumu niż ich okazali baronowa i ksiądz Troubert w chwili, gdy się znaleźli z sobą oko w oko.

Podobny ojcu chrzestnemu, który w średnich wiekach zbroił zapaśnika i krzepił go pożytecznymi radami w chwili wstąpienia w szranki<sup>97</sup>, *stary wyga* powiedział baronowej:

— Niech pani nie zapomni swej roli: jest pani osobą pośredniczącą, a nie *stroną*. Troubert jest również pośrednikiem. Waż pani swoje słowa! Bacz na każdy odcień jego głosu. Jeżeli się pogłaska po brodzie, znaczy żeś pani dopięła swego.

Czasami rysownicy przedstawiali dla zabawy w karykaturze częsty kontrast *między tym, co się mówi, a tym, co się myśli*. Tutaj, aby dobrze oświetlić ten pojedynek na słowa między księdzem a wielką damą, koniecznym jest odsłonić myśli, jakie ukrywali wzajemnie pod nieznaczącymi na pozór zdaniem.

Pani de Listomere wyraziła ubolewanie nad procesem, po czym wspomniała, jak bardzo pragnęłaby, aby ta sprawa zakończyła się ku zadowoleniu obu stron.

— Zło się stało, pani — rzekł ksiądz poważnie — cnotliwa panna Gamard umiera. (*Tyle mnie obchodzi to głupie dziewczysko, co zeszłoroczny śnieg, myślał, ale chciałbym wam upakować na grzbiet jej śmierć i zmącić wasze sumienie o ile będziecie tak głupi, aby się tym przejmować*).

— Dowiedziawszy się o jej chorobie — odparła baronowa — wymogłam na ks. wikarym zrzeczenie się pretensji, które właśnie przyniosłam tej świętobliwej panience.

<sup>96</sup>*sub judice* (łac.) — w toku, w trakcie rozpatrywania przez sąd. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*szranki* — ogrodzenie placu turniejowego, przen. sam turniej. [przypis edytorski]

(*Odgaduję cię, szczywany łajdaku! — myślała; — ale to nas ubezpiecza od twoich potwarz<sup>98</sup>. Co do ciebie, jeżeli przyjmiesz zrzeczenie, wpakujesz się, przyznasz się tym samym do współnictwa*).

Nastąpiła chwila milczenia.

— Sprawy doczesne panny Gamard nie obchodzą mnie — rzekł wreszcie ksiądz, opuszczając szerokie powieki na swoje orle oczy, aby ukryć wzruszenie. (*Ha! ha! Nie wpakujecie mnie! Ale, Bogu dzięki, przekłęci adwokaci nie będą rozmazywali sprawy, która mogłaby mnie poplamić. Czegóż oni chcą, ci Listomerowie, że się tak płaszczą przede mną?*)

— Ojczye wielebny — odparła baronowa — sprawy księdza Birotteau są mi równie dalekie, jak ojcu sprawy panny Gamard; ale, na nieszczęście, religia może ucierpieć w tym sporze. Widzę tu w panu, wielebny ojczye, jedynie mediatora, tak i jak ja sama działam jedynie w duchu jednania... (*Nie oszukamy się nawzajem, księżulku — myślała. — Czy czujesz szpileczkę pod tą odpowiedzią?*)

— Religia może ucierpieć? — rzekł wielki wikariusz. — Religia jest zbyt wysoko, aby ludzie mogli jej dosięgnąć. (*Religia to ja, myślał*). — Bóg nas osądzi bez omyłki, pani — dodał — uznaję tylko jego trybunał.

— Zatem, wielebny ojczye — odparła — starajmy się pogodzić sądy ludzi z sądami Boga. (*Tak, religia, to ty*).

Ksiądz Troubert odmienił ton:

— Podobno pani bratanek jeździł do Paryża? (*Dowiedzieliście się tam o mnie, myślał. Mogę was zmiażdżyć, was, coście mną wzgardzili. Przychodzicie się ugiąć*).

— Owszem, proszę ojca; dziękuję, że się ojciec raczy nim interesować. Wraca dziś wieczór do Paryża, wezwał go minister, który ma dla nas wiele życzliwości i chciałby go odwieść od zamiaru porzucania służby. (*Nie zmiażdżysz nas, jezuito, myślała, ale zrozumiałam twój żarcik*).

Chwila milczenia.

— Nie uważam za właściwe jego postępowania w tej sprawie, ale trzeba wybaczyć marynarzowi, że się nie rozumie na prawie. (*Uczyńmy sojusz — myślała. — Nic nie zyskamy na tym aby wojować z sobą*).

Lekki uśmiech księdza zginął w fałdach jego twarzy.

— Oddał nam tę usługę, że nam uświadomił wartość tych dwóch malowideł — rzekł ksiądz, spoglądając na obrazy — będą piękną ozdobą kaplicy Najśw. Panny. (*Wsunęłaś mi szpileczkę, masz oto dwie; skwitowaliśmy się<sup>99</sup>, moja pani*).

— Gdyby je ojciec zamierzał darować katedrze, prosiłabym, aby mi wolno było ofiarować ramy godne miejsca i dzieła. (*Rada bym wydobyć z ciebie wyznanie, że chciałeś zagarnąć meble księdza Birotteau — myślała*).

— Nie należą do mnie — rzekł ksiądz wciąż mając się na baczności.

— Oto — rzekła pani de Listomere — akt, który przecina wszelką dyskusję i oddaje je pannie Gamard. — Położyła zrzeczenie na stole. — (*Widzisz, księżo — myślała — jakie ja mam do ciebie zaufanie*.) Godnym jest ciebie, ojczye — dodała — godnym twego pięknego charakteru, pojednać dwoje chrześcijan. Mimo że obecnie mało interesuję się księdzem Birotteau...

— Mieszka u pani — przerwał ksiądz Troubert.

— Już nie mieszka. (*Parostwo mego szwagra i awans bratanek kosztują mnie wiele nikczemności*).

Ksiądz siedział bez ruchu, ale jego spokój zdradzał najgwałtowniejsze wzruszenia. Jeden pan de Bourbonne odgadł tajemnicę tego pozornego spokoju. Ksiądz tryumfował!

— Czemu tedy podjęła się pani doręczyć jego zrzeczenie? — spytał, party tym samym uczuciem, które każę kobiecie kazać sobie powtarzać komplementy.

— Nie mogłam się obronić odruchowi współczucia. Ksiądz Birotteau, którego słaby charakter musi być ojcu znany, błagał mnie, abym poszła do panny Gamard, i uzyskała, za cenę jego rezygnacji...

Ksiądz zmarszczył brwi.

— ...Rezygnacji ze swoich *praw*, uznanych przez wybitnych adwokatów, portret...

<sup>98</sup>potwarz — oszczerstwo. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>skwitować się (daw.) — wyrównać rachunki. [przypis edytorski]

Ksiądz spojrział na panią de Listomere.

— Portret księdza de Chapeloud — ciągnęła. — Poddaję uznaniu ojca jego żądanie...  
(*Przegralbyś, gdyby chciał się procesować, myślała.*)

Akcent jaki położyła na słowach: *wybitnych adwokatów* objaśnił księdzu, że baronowa zna silne i słabe strony wroga. W ciągu tej rozmowy, która utrzymała się dłuższy czas w tym tonie, pani de Listomere ołśniła starego znawcę takim talentem, iż ksiądz zeszedł do panny Gamard, aby uzyskać jej odpowiedź na ofiarowaną transakcję.

Troubert wrócił niebawem.

— Pani — rzekł — oto słowa biednej umierającej: „Ksiądz Chapeloud okazywał mi zbyt wiele przyjaźni, rzekła, abym się mogła rozstać z jego portretem”. Co do mnie — rzekł — gdyby był moją własnością, nie ustąpiłbym go nikomu. Żywiłem zbyt stałe uczucia dla drogiego zmarłego, abym się nie miał czuć w prawie walczenia o jego portret z całym światem.

— Ojczy, *nie poróżnimy się przecież dla lichego portretu. (Kpię sobie z niego tak samo jak i ty — myślała.)* Niech go Ojciec zachowa, damy sporządzić kopię. Cieszę się, że umorzyłam ten przykry i oplakany proces; osobiście zyskałam na tym przyjemność poznania ojca. Słyszałam wiele o talentach ojca w grze w wista. Daruje ojciec kobiecie, że jest ciekawa — rzekła z uśmiechem. — Gdyby ojciec zechciał zająć do mnie czasami na partyjkę, nie wątpi ojciec o przyjęciu, z jakim by się spotkał. Troubert pogładził się po brodzie. — (*Mam go! Bourbonne miał słuszną — pomyślała; — ma swoją słabą stronę: próżność.*)

W istocie, wielki wikariusz doznawał w tej chwili rozkosznego uczucia, któremu Mirabeau<sup>100</sup> nie umiał się obronić, kiedy, w dniach swojej potęgi, ujrzał jak się otwiera przed jego powozem brama pałacu niegdyś dla niego zamknięta.

— Pani margrabino — odparł — zbyt ważne ciążą na mnie obowiązki, abym miał czas na wizyty; ale czegoż by się nie zrobiło dla pani? (*Stara panna klapnie<sup>101</sup>, ja się uczipię Listomerów i pójdę im na rękę, jeżeli oni pójdą mnie na rękę! — myślał. — Lepiej jest mieć w nich przyjaciół niż wrogów.*)

Pani de Listomere prosiła do siebie, w nadziei, iż arcybiskup dokończy tak szczęśliwie rozpoczętego dzieła pokoju. Ale Birotteau nie miał nawet skorzystać ze swego zrzeczenia. Nazajutrz pani de Listomere dowiedziała się o śmierci panny Gamard. Kiedy otwarto testament starej panny, nikt się nie zdziwił, dowiadując się, że uczyniła księdza Troubert generalnym spadkobiercą. Majątek jej oszacowano na trzysta tysięcy franków. Generalny wikariusz posłał do pani de Listomere dwa zaproszenia na mszę żałobną i na kondukt; jedno dla niej, drugie dla jej bratanka.

— Trzeba iść — rzekła.

— Wyraźnie daje to do zrozumienia! — wykrzyknął p. de Bourbonne. — Jest to próba, wedle której wielebny ksiądz Troubert chce was osądzić. Baronie, idź aż na cmentarz — dodał, zwracając się do porucznika okrętu, który, na swoje nieszczęście, nie wyjechał.

Nabożeństwo odbyło się z pompą godną osoby duchownej. Jeden tylko z uczestników płakał. Był to Birotteau, który, sam w ustronnej kaplicy, nie widziany przez nikogo, poczuł się winnym tej śmierci i modlił się szczerze za duszę zmarłej, żałując gorzko, że nie uzyskał od niej przebaczenia za swoje winy. Ks. Troubert odprowadził swą przyjaciółkę aż do dołu, w którym ją miano pogrzebać. Stanąwszy nad grobem, wygłosił mowę żałobną, w której, dzięki jego talentowi, obraz ciasnego życia, jakie wiodła jego dobrodziejka, nabrał monumentalnych wymiarów. Obecni zauważyli zwłaszcza te słowa:

„To życie pełne dni poświęconych Bogu i religii, to życie strojne w tyle pięknych uczynków spełnianych w ciszy, w tyle pięknych cnót skromnych i nieznanymi, złamała boleść, którą nazwalibyśmy niezasłużoną, gdyby, na skraju wieczności, wolno nam było zapomnieć, że wszystkie nasze strapienia zesłane są od Boga. Liczni przyjaciele tej świętej panienki, znając szlachectwo i czystość jej duszy, przewidywali, że zdolna jest wszystko znieść, wyjąwszy podejrzeń rzucających cień<sup>102</sup> na całe jej życie. Dlatego też może Opatrzność zabrała ją na łono boże, aby ją zbawić od naszych nędz. Szczęśliwi ci, którzy mogą

<sup>100</sup>Mirabeau, Gabriel de (1749–1791) — przywódca szlachty opozycyjnej i wielkiej burżuazji podczas rewolucji 1789 r., przekupiony przez dwór królewski, prowadził dwulicową grę. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>klapnąć — tu: umrzeć. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>wyjąwszy podejrzeń rzucających cień — dziś popr.: wyjąwszy podejrzenia rzucające cień. [przypis edytorski]

spoczywać tu na ziemi w pokoju duszy, tak jak Zofia spoczywa teraz w siedzibie błogosławionych w sukience swej niewinności!”

— Kiedy skończył tę pompatyczną mowę — dodał p. de Bourbonne, który opowiedział szczegóły pogrzebu pani de Listomere, w chwili gdy, po skończeniu partyjki i przy zamkniętych drzwiach, znalazł się sam z nią i z baronem — wyobraźcie sobie, jeżeli możliwe, tego Ludwika XI<sup>103</sup> w sutannie, zadającego ostatni cios kropidłem zmaczanym w święconej wodzie.

P. de Bourbonne wziął szczypcę i powtórzył tak dobrze gest ks. Troubert, że baron i jego ciotka nie mogli się wstrzymać od śmiechu.

— Tu jedynie — ciągnął stary obywatel — zdradził się. Aż dotąd zachowanie jego było wzorowe; ale kiedy grzebał na zawsze tę starą pannicę, którą gardził szczerze i której nienawidził może tyleż, co nieboszczyka Chapeloud, niepodobna mu było nie zdradzić swej radości jakimś gestem.

Nazajutrz rano panna Salomon przyszła na śniadanie do pani de Listomere. Ledwie weszła, rzekła mocno wzruszona:

— Nasz biedny ksiądz Birotteau otrzymał przed chwilą straszliwy cios, świadczący o najbardziej wyrachowanej i złośliwej nienawiści. Mianowano go proboszczem św. Symforiana.

Św. Symforian jest to przedmieście Tours, położone za mostem. Most ten, jeden z najpiękniejszych pomników francuskiej architektury, ma tysiąc dziewięćset stóp długości, a dwa place, które go zamykają z obu stron, są zupełnie jednakowe.

— Rozumie droga pani? — podjęła po pauzie, wielce zdumiona chłodem, z jakim pani de Listomere przyjęła tę nowinę. — Ksiądz Birotteau będzie tam jakby o sto mil od Tours, od swoich przyjaciół, od wszystkiego. Czyż to nie jest wygnanie, tym okropniejsze, iż wyrwa go z miasta, które oczy jego będą codziennie oglądać i gdzie nie będzie mógł już prawie bywać? On, który, od czasu swoich nieszczęść, zaledwie może chodzić, musiałby robić całą milę, aby nas odwiedzić. W tej chwili biedaczysko leży w łóżku, ma gorączkę. Plebania św. Symforiana jest zimna, wilgotna, a parafia jest zbyt uboga, aby ją odrestaurować. Biedny starzec znajdzie się tedy w prawdziwym grobie. Cóż za okropny pomysł!

A teraz wystarczy nam może, dla dokończenia tej historii, przytoczyć po prostu kilka wydarzeń i naszkicować ostatni obraz.

W pięć miesięcy później generalny wikariusz został biskupem. Pani de Listomere umarła i zapisała księdzu Birotteau tysiąc pięćset franków renty. W dniu, w którym otwarto testament baronowej, Jego Eminencja Hiacynt, biskup Troyes, miał właśnie opuścić Tours, aby się udać do swej diecezji; ale opóźnił wyjazd. Wściekły, że się dał oszukać kobiecie, której on podał rękę, gdy ona podawała tajemnie dłoń jego wrogowi, Troubert na nowo zagroził przyszłości barona oraz parostwu margrabiego de Listomere. W licznym zebraniu, w salonie arcybiskupa, rzucił jedno z owych „duchownych” słówek, brzemiennych zemstą, a pełnych zresztą oblesnej słodyczy. Ambitny marynarz udał się do nieubłaganego księdza, który z pewnością podyktował mu twarde warunki; zachowanie bowiem barona świadczyło o zupełnym poddaniu woli straszliwego kongregacjonisty. Nowy biskup darował prawomocnym aktem dom panny Gamard kapitulę; bibliotekę i książki księdza Chapeloud darował seminarium; dwa zakwestionowane obrazy ofiarował do kaplicy Najśw. Panny; zatrzymał jedynie portret ks. Chapeloud. Nikt nie umiał sobie wytłumaczyć tego zupełnego niemal zrzeczenia się sukcesji po panie Gamard. P. de Bourbonne przypuszczał, że biskup zachował potajemnie gotowiznę<sup>104</sup>, aby móc żyć na przyzwoitej stopie w Paryżu, w razie gdyby go powołano na ławę biskupów w Senacie. Wreszcie, w wilię<sup>105</sup> wyjazdu Jego Eminencji, stary wyga przeniknął ostatnią rachubę, jaka się kryła w tym uczynku, śmiertelny cios zadany przez najwytrwalszą zemstę najsłabszej ze wszystkich ofiar. Baron de Listomere zaczepił zapis uczyniony przez panią de Listomere księdzu Birotteau pod pozorem wyłudzenia! W kilka dni po wniesieniu skargi, barona

<sup>103</sup>Ludwik XI — król Francji w latach 1461–1482, okrutny i mściwy, zręczny polityk, wzmocnił władzę królewską. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>gotowizna (daw., pot.) — pieniądze w gotówce. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>wilia (daw.) — dzień poprzedzający. [przypis edytorski]

mianowano kapitanem okrętu. Zarządzeniem dyscyplinarnym proboszcza św. Symforiana zawieszono w jego funkcjach. Przełożeni kościelni osądzili proces z góry. Morderca nieboszczki Zofii Gamard był tedy łotrem! Gdyby Eminencja Troubert zachował spadek po starej panie, trudno byłoby skazać księdza Birotteau.

W chwili gdy Jego Eminencja Hiacynt, biskup Troyes, miał kolaskę<sup>106</sup> pocztową dzielnicę Św. Symforiana, udając się do Paryża, biednego księdza Birotteau posadzono w fotelu na słońcu na terasie. Biedny ksiądz, zmiażdżony przez arcybiskupa, był bladej i wychudły. Zgryzota odcisnięta we wszystkich jego rysach zmieniła zupełnie tę twarz, niegdyś tak pogodną. Choroba powlekła jego oczy, niegdyś naiwnie ożywione rozkoszami dobrej kuchni i wolne od troski; zasnęła je zasłoną, która udawała myśl. Był to szkielec owego Birotteau, który, rok wprzód<sup>107</sup>, toczył się, tak pusty, ale tak zadowolony, przez uliczki Klasztoru. Biskup obrzucił swoją ofiarę spojrzeniem wzgardy i litości; po czym raczył zapomnieć o nim, i pojechał dalej.

Nie ma wątplenia, iż Troubert byłby w innych czasach Hildebrandem<sup>108</sup> albo Aleksandrem VI<sup>109</sup>. Dziś Kościół nie jest już potęgą polityczną i nie wykorzystuje już sił swoich samotników. Celibat ma tę kapitalną wadę, iż, skupiając wartości człowieka na jedną namiętność, egoizm, czyni ludzi bezzennych albo szkodliwymi, albo bezużytecznymi. Żyjemy w epoce, w której rządy (i to ich wada) nie tyle urządzają społeczeństwo dla człowieka, ile człowieka dla społeczeństwa. Istnieje nieustanna walka jednostki przeciw systemowi, który go chce wyzyskać, a który on chce wyzyskać na swoją korzyść; podczas gdy niegdyś człowiek, w istocie bardziej wolny, okazywał się bardziej szczodry dla sprawy publicznej. Krąg, w którym poruszają się ludzie, rozszerzył się nieznacznie: dusza, która zdolna jest objąć jego syntezę, będzie zawsze tylko wspaniałym wyjątkiem; zwyczajnie bowiem, w świecie moralnym jak w świecie fizycznym, ruch traci na sile to, co zyskuje na przestrzeni. Społeczeństwo nie może się wspierać na wyjątkach. Najpierw człowiek był po prostu i wyłącznie ojcem, i serce jego było gorąco, skupione w sferze rodziny. Później żył dla klanu lub dla małej republiki: stąd wielkość historii Grecji lub Rzymu. Następnie był człowiekiem kasty lub religii, dla której umiał się okazać wzniosłym; ale tu krąg jego interesów pomnożył się o wszystkie strefy intelektualne. Dziś życie jego związane jest z życiem olbrzymiej ojczyzny; niebawem, powiadają, ojczyzną jego będzie cały świat. Czyżby ten kosmopolityzm moralny, nadzieja chrześcijańskiego Rzymu, nie był wzniosłą omyłką? Tak naturalnym jest wierzyć w ziszczenie szlachetnej mrzonki, w braterstwo ludzi. Ale, niestety! istota ludzka nie ma tak boskich proporcji. Dusza dość obszerna, aby ogarnąć uczucia przeznaczone tylko dla wielkich ludzi, nie będzie nigdy duszą zwykłego obywatela ani ojca rodziny. Niektórzy fizjologowie sądzą, iż, kiedy mózg tak się rozprzestrzenia, serce musi się ścieśniać. Fałsz! Pozorny egoizm ludzi, którzy noszą naukę, naród albo prawa w swoim łonie, czyż to nie jest najszlachetniejsza z namiętności, poniekąd macierzyństwo mas? Aby porodzić nowe ludy lub aby wydać nowe idee, czyż nie trzeba im skojarzyć i w swoich potężnych głowach wymion kobiety z potęgą Boga? Historia Innocentych III, Piotrów Wielkich i wszystkich ludzi prowadzących epokę lub naród, posłużyłaby w potrzebie, w sferze bardzo wysokiej, za przykład owej olbrzymiej myśli, którą Troubert wcielał w klasztorze św. Gracjana.

*Saint-Firmin, kwiecień 1832.*

<sup>106</sup>kolaska — rodzaj powozu. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>wprzód (daw.) — wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>Hildebrandt — (papież Grzegorz VII, 1073–1085) jeden z najgłośniejszych papieży średniowiecza, prowadził długotrwałą walkę o wyższość władzy duchownej nad świecką. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>Aleksander VI — Rodrigo Borgia (1431–1503), papież od 1492 r., nie przebiegający w środkach polityk. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-proboszcz-z-tours>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Dziewczyna o złotych oczach*; *Proboszcz z Tours*, tłum. T. Boy-Żeleński, Przekładów Boy'a tom 85, druk. "Rola" J. Buriana, Warszawa 1926.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Paulina Kurek, Paweł Koziół, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: z, MariaT, Karolina Fenicka, Maciej Matuszczyk, Leszek, Janecz, Anna, Milena Krawczyk, Jakub Klawiter, nub, Sylwia Madejczyk, Alicja Kurek, Krzysztof Kaczorowski, WR, czytacz patyczak, Leszek.

Okładka na podstawie: *Portret męski - Dr Wenera (?)*, Jan Sikorski (1804-1887), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0073-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do [Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur](#) i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).